

Wejherowski Konkurs Literacki

Powiew Weny

„Trzecia miłość zaplata jeszcze mocniej”



Miejska Biblioteka Publiczna
im. Aleksandra Majkowskiego
w Wejherowie

WEJHEROWO 2017

Miejska Biblioteka Publiczna
w Wejherowie im. Aleksandra Majkowskiego

XII Wejherowski Konkurs Literacki

POWIEW WENY

pod patronatem
Prezydenta Miasta Wejherowa

WEJHEROWO 2017

W y d a w c a:

**Miejska Biblioteka Publiczna w Wejherowie
im. Aleksandra Majkowskiego
Wejherowo 2017**

Opracowanie i redakcja: Henryk Połchowski

Korekta: Krzysztof Powałka

Druk: MIDI-DRUK Wejherowo

ISBN : 978-83-94-674-1-0

Drodzy Czytelnicy

To już 12. edycja Wejherowskiego Konkursu Literackiego „Powiew Weny”, nad którym honorowy patronat sprawuje Prezydent Miasta Wejherowa Krzysztof Hildebrandt. Motto tegorocznego konkursu zostało zaczerpnięte z poezji Hanny Makurat – laureatki „Powiewu Weny” z 2015 roku, były to słowa: „Trzecią miłość zaplata się jeszcze mocniej”.

Celem Organizatorów, jak co roku, była inspiracja i popularyzacja twórców literatury, ujawnienie ich talentów, a także stworzenie możliwości publikacji najlepszych utworów. Cieszy niesłabnące zainteresowanie konkursem wśród twórców z całego województwa. Do tegorocznej edycji napłynęło 45 prac, w tym 21 to prace w kategorii młodzieżowej, w której nie obowiązywał podział gatunkowy. W kategorii dorosłych 10 prac to utwory prozatorskie, a 14 – zestawy poezji.

Prace konkursowe oceniało jury w składzie: przewodnicząca Komisji Konkursowej Danuta Balcerowicz – (dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Wejherowie), Honorowy Członek Komisji Konkursowej Bogdan Tokłowicz (przewodniczący Rady Miasta Wejherowa) oraz członkowie – dr Jolanta Laskowska (adiunkt w Katedrze Polonistyki Stosowanej Uniwersytetu Gdańskiego), Piotr Schmandt (pisarz, pracownik Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie) i Ewelina Magdziarczyk-Plebanek (teatrológ i kulturoznawca, bibliotekarz Miejskiej Biblioteki Publicznej w Wejherowie). Sekretarzem konkursu był Krzysztof Powałka – pracownik biblioteki.

Tak jak się tego spodziewaliśmy, temat miłości okazał się bardzo inspirujący. Twórcy przedstawili w swoich pracach jej różnorodne oblicza i konteksty. Cieszy nas zwłaszcza liczny udział młodzieży, których pomysły, zwłaszcza prozatorskie, były niebanalne i naznaczone młodzieńczym polotem. W kategorii twórców dorosłych, jak co roku, nie zabrakło tematów trudnych i ważnych w wymiarze społecznym. Tu miłość nabierała niejednokrotnie toksycznych znamion i zmuszała do głębokiej refleksji.

Konkurs potwierdził, że w naszym regionie jest wielu uzdolnionych autorów, dla których udział w Wejherowskim Konkursie Literackim „Powiew Weny” jest wyjątkową okazją do sprawdzenia swoich możliwości i zaprezentowania swojej twórczości na szerszym forum. Tym bardziej cieszę się, że powstanie publikacja pokonkursowa, złożona z prac laureatów, która będzie tradycyjnym rezultatem konkursu i pozwoli uwiecznić dokonania nagrodzonych twórców.

Dla laureatów w kategorii młodzieżowej trafiły nagrody rzeczowe ufundowane przez Starostę Powiatu Wejherowskiego Gabrielę Lisius. W grupie uczestników w wieku powyżej 20 lat zostały przyznane nagrody finansowe ufundowane przez Prezydenta Miasta Wejherowa Krzysztofa Hildebrandta. Były one zróżnicowane nie tylko ze względu na osiągnięte miejsce, ale i decyzją jury – odzwierciedlają punktację przydzieloną poszczególnym uczestnikom.

Dziękuję wszystkim twórcom za udział w konkursie. Organizatorom dziękuję za kolejny rok owocnej pracy. Laureatom serdecznie gratuluję i życzę dalszych sukcesów. Wszystkich zapraszam do kolejnej, trzynastej już, edycji Wejherowskiego Konkursu Literackiego „Powiew Weny”, która odbędzie się w przyszłym roku.

Bogdan Tokłowicz

Przewodniczący Rady Miasta Wejherowa
Honorowy Członek Komisji Konkursowej

Wejherowo, 22 listopada 2017 rok

WYNIKI

XII edycji Wejherowskiego Konkursu Literackiego "Powiew Weny" z dnia listopada 2017 roku.

W kategorii A - Młodzież

I miejsce: **Paulina Melcer** z Wejherowa, godło „Mleko“
za opowiadanie pt. „*Trzecią Miłość zaplata się jeszcze mocniej*“;

II miejsce: **Sara Bojanowska** z Bytowa, godło „Panda“
za opowiadanie pt. „*Adrenalina*“;

III miejsce: **Agata Toporek** z Gowina, godło „Arhium“
za opowiadanie pt. „*Kier*“;

Nagroda Przewodniczącego Rady Miasta: **Paulina Fopke** z Donimierza, godło
„*Słoneczko*“ za wiersze „*Czy to była miłość*“, „*On*“ i „*Przyzwyczajenie PF*“;

W kategorii B - Dorośli

POEZJA

I miejsce: **Hanna Makurat** z Gdańska, godło „Alicja z Krainy Poezji“
za wiersze „*dokładne zakochanie*“, „*zatrzymanie na czerwonym*“
i „*kochanie surowych wnętrzności*“;

II miejsce: **Barbara Malawska** z Wejherowa, godło „B“
za cykl wierszy pt. „*Okna*“

III miejsce: **Henryk Polchowski**, godło „Amandi Mare“
za wiersze „*Spacer z klepsydrą*“, „*W symfonii sztormu*“ i „*Miłość łączy nas*“;

Nagroda Dyrektora Miejskiej Biblioteki Publicznej w Wejherowie:

Lili Wilczyńska z Gościcina, godło „Verum“
za wiersze „*Bóg, On i Anioł*“, „*Do przyjaciół*“ i „*Utracony blask*“.

PROZA

I miejsce: **Krzysztof Szkurlatowski**, godło „Przeszłość“
za opowiadanie pt. „*Dwa słowa*“;

II miejsce: **Krystyna Lewna** z Godętowa, godło „Pomorzanka“
za opowiadanie pt. „*Pacjentka*“;

III miejsce: **Aleksandra Paluszek-Kur**, godło „Żonkil“
za opowiadanie pt. „*Warkocze*“.

Dwa słowa

Znów korzystałem z gościnności schodów nagranych sierpniowym upałem. Miałem wakacje, mogłem bez przeszkód na nich przesiadywać. Oparty o ścianę, wystawiałem twarz do słońca i gapiłem się na pierzaste chmury. Lubilem w sunących po niebie obłokach dostrzegać kształty nierozpoznawalne dla kogokolwiek innego. Ślimak, sterta jabłek – każde nadgryzione, krowi placek, wielki ruski pieróg, o proszę, jest na nim nawet jaśniejszy kleks, całkiem jak ze śmietany. Czasem myśli uciekały od nieba i zaczynały krążyć na przykład między pomysłami Adama Słodowego pokazywanymi dzień wcześniej w „Zrób to sam”. Potem próbowały zająć się planowaniem wszystkiego, co urzeczywistniłbym mając pod ręką zaczarowany ołówek. I znów wracałem do obłoków – wąsy dziadka, kałuża przy szkole, mysz, ale bez ogonka...

A kiedy cierpła szyja przenosiłem wzrok niżej. Na pniu lipy stojącej przed naszym domem krzątały się stada czerwców. Zawsze mnie intrygowały te zajęte sobą czerwionoczarne owady, choć na myśl o tym, że całe ich mrowie mieszka na cmentarzu czułem się nieswojo. Ciekawe, czy dokopują się do trumien? Przecież z jakiegoś powodu niektórzy nazywali je grabarzami.

– Eee, Gagarin! Idziesz z nami? – okrzyk oderwał mnie ze świata owadzych rozważań.

Kiedy zorientowałem się kto woła, wzruszyłem tylko ramionami. Nie lubiłem części z tych chłopaków, niektórych bardzo. Kilku chyba nawet nienawidziłem. Co może wiedzieć o nienawiści dziewięciolatek? Zapewniam was, że sporo..

Nie chciałem iść z nimi, ale też nie chciałem tkwić na schodach. Za często tu siedziałem sam. Lubilem to, ale też ciągnęło mnie do nich. Mimo wszystko.

– No choo Gagarin! Zagramy! – nie ustępowali, najwidoczniej bardzo brakowało im kogoś do składu.

Podniosłem się ze schodów, otrzepałem spodnie na tyłku i lekko się ociągając dołączyłem do gromady. Szliśmy na duże podwórko przylegające do

wielorodzinnej kamienicy. Jej mieszkańcy nie przeganiali nas. Najwyraźniej nie przeszkadzały im nasze meczowe krzyki. Nic dziwnego, z okien często dochodziły wrzaski o wiele głośniejsze od naszych, i wulgarniejsze. Z klatki schodowej wybiegała czasem jakaś potargana kobieta z podbitym okiem, albo wytaczali się mocno zawiani faceci. Tu nikt się nie obawiał, że wybijemy szybę piłką, bo w wielu oknach już od dawna ich nie było. Niektóre dziury załatano dyktą, inne pobłyskiwały refleksami światła na groźnie sterczących szklanych resztkach.

Ledwie doszliśmy na miejsce pożałowałem, że dołączyłem do grupy – uświadomiłem sobie co mnie teraz czekało. Upokarzający proces wybierania zawodników do drużyn. Najpierw kapitanowie grali w „kamień, papier, nożyce” o to, który z nich zacznie wybieranie. Zwycięzca wskazywał pierwszego z piłkarzy swojego zespołu. Mnie wybierano na samym końcu. Zawsze! Owszem, nie byłem dobrym piłkarzem, ale chyba też nie gorszym niż Kura z mojej klasy. Nosił tak grube i ciężkie szkła korekcyjne, że okulary wciąż mu spadały. Za wiele to on nie widział, nawet kiedy miał na nosie te swoje pancerne cyngle. Mimo to, wybierali go do drużyny przede mną. Tak samo jak Raka, chudego, patykowatego, niezgrabnego w ruchach rudzielca. W opinii podwórkowych gwiazd futbolu byłem mniej wart nawet od niego. Godziłem się z tym w milczeniu. Z opuszczoną głową czekałem by w końcu wywołano i mnie. Ktoś musiał wreszcie powiedzieć: – wybieram Gagarina. Ton rezygnacji był słyszalny bardzo wyraźnie. Zaciskałem zęby i dołączałem do drużyny. By nie siedzieć samotnie na schodach, by przez chwilę nie czuć się dziwolągiem.

Kiedy wreszcie przykrej formalności stało się zadość, szedłem prosto do bramki, bo przecież podobno na żadną inną pozycję się nie nadawałem. Tak jakby Kura, albo Rak się nadawali. Też coś... W takich chwilach, urażane wciąż na nowo chłopiące ambicje kazały mi myśleć, że właściwie, to bycie bramkarzem jest całkiem przyjemne. Nie musiałem uganiać się za piłką w tumanach kurzu, pocić się z wysiłku i zbierać kopniaków po kostkach. A najważniejsze, że miałem sporo czasu na myślenie. Wystarczyło niezbyt uważnie śledzić przebieg gry. W tym byłem mistrzem. Bez przesady można by mnie nazwać jednym z najbardziej statycznych bramkarzy w dziejach podwórkowej piłki. Zwykle przechadzałem się niespiesznie między słupkami, a karkołomne robinsonady zdarzały mi się wyłącznie w razie przydepnięcia rozwiązanego sznurowadła. Raz nawet, dzięki podobnemu przypadkowi, obroniłem strzał i przez chwilę chodziłem

w glorii chwały. Chłopaki poklepywali mnie z radością i podziwem dla efektownej obrony. Jakby zapomnieli na chwilę kim jestem. Gdybyż oni wiedzieli, że po prostu zostałem trafiony piłką, gdy przewracałem się na ziemię zaplątany w sznurówki. Może wiedzieli i dlatego nigdy nie nazwali mnie Jaszynem? Chętnie za to wykrzykiwali po strzelonych golach swoje boiskowe pseudonimy – Pele, Eusebio, Cruyff, Lubański! Ja na zawsze pozostałem dla nich Gagarinem. Nie miałem im za złe. Bolały mnie inne rzeczy.

Tuż za naszym sadem był sosnowy las. Chodziłem do niego od kiedy pamiętam. Dawno temu dziadek pokazał mi ruchomą sztachetę w płocie. Należało ją odchylić by przejść na drugą stronę i dojść do ścieżki prowadzącej wprost do lasu. Poprosił tylko, bym chodząc tam bardzo uważał i nie nadepnął żywej żmii. Sporo ich wygrzewało się latem na ścieżkach i polanach. Za pierwszym razem wziął mnie za rękę i pod wieczór zaprowadził na wrzosowisko, gdzie osy, pszczoły i trzmiele wciąż jeszcze zbierały pyłek. Leżeliśmy obok siebie pośród wszechogarniającego brzęczenia owadów kiedy nadszedł jeź. Zaskoczony naszą obecnością na swoim szlaku momentalnie zmienił się w przestraszoną koleczastą kulkę. Po paru minutach, kiedy zorientował się, że nikt na niego nie dybie, rozwinął się i gniewnie pofukując obszedł nas sporym łukiem. Pamiętam, że śmiałyśmy się długo z tej jeżowej złości. Później, wciąż leżąc, dziadek nazywał ptaki skaczące po gałęziach nad nami i próbował uczyć mnie rozpoznawania ich po głosach. A kiedy już wracaliśmy do domu zdradził miejsce, w którym wiewiórka, regularnie odwiedzająca nasz sad, chowała orzechy laskowe. Słuchałem go zdumiony – skąd on to wszystko wie?!

Do lasu wielokrotnie wracałem sam. Odchylenie sztachety, przecięnięcie przez powstałą dziurę, skok przez wąski rów melioracyjny cuchnący mułem, i w końcu spacer piaszczystą ścieżką. Jej pobocza były najprawdziwszymi mrówczymi autostradami. Przez te małe owady dojście do lasu często zajmowało mi mnóstwo czasu. Co krok zatrzymywałem się i wpatrywałem w ich pracę. Zdarzało się, że śledząc którąś z mrówek zapominałem o Bożym świecie na całe kwadransy. Szedłem za nią aż zniknęła w kopcu mrowiska. Niekiedy wyobrażałem sobie, że mnie także obserwuje ktoś z góry i jestem dla niego taką małą mrówką. Istotą niezupełnie zrozumiałą, ale mimo to fascynującą. Bardzo chciałem by obserwator był choć trochę podobny do mnie. A kiedy przemykała mi przez głowę myśl, że przecież obserwator może być taki, jak niektórzy z moich kolegów, dla których

rozrywką było rozkopywanie mrowisk i rozdeptywanie owadów, wpadałem w panikę. Oczywiście wyobraźni widziałem obrazy zniszczenia, chaosu, śmierci.

– Nie chcę, nie chcę! – pędziłem w głąb lasu niemal krzycząc, a może krzycząc naprawdę. Gwałtownie kręciłem głową, jakbym chciał tym gestem wyrzucić z wyobraźni niechciane wizje. Zaciskając pięści i powieki, zdyszany rzucałem się na leśne poszycie polany. Długo uspokajałem oddech i emocje. Nie jeden raz na dywanie z zielonych mechów odpędzałem dziecięce strachy, różne paskudne wizje. W jednej z nich, pojawiała się ręka ojca uniesiona do ciosu.

Mech. Miękki, delikatny, pachnący, trochę wilgotny. Kiedy zapadałem się w nim z zamkniętymi oczyma, powoli przestawałem się bać. Wszystko się rozmywało, schodziło na dalszy plan. Korony sosen szumiały monotennie na wietrze, cicho skrzypiały gałęzie, a spomiędzy zielonych łądyżek, na których leżałem, dochodziły dyskretne odgłosy życia świata niemal niezauważalnego dla ludzkiego oka. Do dziś mech kojarzy mi się ze spokojem i bezpieczeństwem.

Mech, takie imię nadałem swojemu pierwszemu w życiu zwierzęciu. Miałem pięć lat kiedy dziadek wracając z pracy spotkał sąsiada niosącego worek. Dobiegało z niego rozpaczliwe popiskiwanie. Worek z zawartością miał trafić do rzeki. W tamtych czasach to był najpowszechniejszy w naszej wsi sposób pozbywania się niechcianych kociąt i szczeniąt. Gdyby dziadek wyszedł z pracy pięć minut później lub wcześniej rozminąłby się z sąsiadem, a puszysta zawartość worka zakończyłaby życie z płucami pełnymi wody. Los sprawił inaczej i kocię trafiło do naszego domu. Dziadek dając mi je do rąk powiedział, że muszę się nim zaopiekować, nadać mu imię.

– Tylko pamiętaj, że to chłopiec – powiedział.

– Mech – powiedziałem od razu, bez zastanowienia.

Dziadek się uśmiechnął, potargał moją czuprynę i dopytał: – Mech, czemu Mech? Na pewno? Nie Puszek, Mruczek, Łatek?

– Mech! – potwierdziłem stanowczo. I to wystarczyło. Dziadek nigdy nie dziwił się niczemu, co wygadywałem. Dlatego tylko jemu opowiadałem o swoich, nawet najdziwniejszych, przemyśleniach. Także tych dokonywanych podczas obserwacji mrówek.

Przyłgnęliśmy do siebie od razu, ja i Mech. Jakbyśmy nawzajem się potrzebowali. Najchętniej nie złążyłby z moich kolan. A kiedy wspinał mi się na ramiona i próbował lizać po uszach, byłem szczęśliwy. Jego cichutkie, bardziej

wyczuwalne niż słyszalne mruczenie, uspokajało mnie. Może nawet bardziej niż ucieczki do lasu. Wciąż jeszcze bywało, że zamykałem się w szafie ze strachu przed ojcem. Ale już nie byłem sam. Kiedy zaś wychodziłem z domu, Mech nie odstępował mnie na krok. Wybierając się do szkoły, albo w odleglejsze zakątki wsi, musiałem pamiętać by zamknąć kota w pokoju, inaczej pomknąłby za mną wszędzie. Bałem się, że może się zgubić, a tego bym nie przeżył. Stał się dla mnie kimś więcej niż przytulnym zwierzątkiem. Nie wiem ile w tym jego zasługi, ale po kilku miesiącach odkąd ze mną zamieszkał, przestałem się moczyć. Wreszcie!

Pamiętam, jak bardzo wstydziłem się tych wilgotnych plam na bieliźnie i pościeli. Pojawiały się prawie zawsze kiedy pod oknami rozlegały się krzyki ojca, lub kiedy poczułem w pobliżu jego przesiąknięty wódką oddech. Nie musiałem sobie wyobrażać uniesionej ręki, wystarczył oddech. Gdy przychodził strach, Mech był zawsze ze mną. Z jego pyszczka wtulonego w mój obojczyk wydobywało się ciepłe tchnienie. Delikatnie drapałem go za uszami, zaczynał mrużyć i razem odplywaliśmy niepostrzeżenie gdzieś daleko od wszystkiego, co działo się dookoła. Odkąd ze mną był strach słabł, a moje obawy coraz częściej dotyczyły tego, by to jego nikt nie skrzywdził.

Wszyscyśmy się bali Zabija, wielkiego psa, krzyżówki doga z rottweilerem, czy czymś podobnym. Był niebezpieczny nie tylko ze względu na rozmiar najeżonej zębami paszczy, ale również dlatego, że nienawidził ludzi. Bity, poniewierany, czasem głodzony przez swojego właściciela, starego Króliczaka. Temu kłusownikowi i kryminaliście, który parę ładnych lat zwiedzał polskie więzienia, starali się nie wchodzić w drogę nawet okoliczni leśnicy. Milicjanci też raczej go omijali. Los jego psa nie obchodził nikogo. Czasem dzieci wchodziły na dach szopy sąsiadującej z wybiegiem Zabija, by z bezpiecznego miejsca patrzeć na bestię, o której we wsi krążyły legendy. Gdy zobaczyłem go pierwszy raz, ze zdumieniem obserwowałem jak kilkanaście minut stał w całkowitym bezruchu pośrodku klepiska otoczonego wysokim ceglany murem. Nie wyglądał na potwora gotowego w jednej chwili rozszarpać kogokolwiek. Nie drgnął nawet w odpowiedzi na krzyki wyrostków siedzących ze mną na dachu. Zareagował kiedy ktoś cisnął w jego kierunku patykiem. Dopiero wtedy spojrzał ku nam, a w jego oczach zobaczyłem żądzę mordu.

Nigdy nie dowiedziałem się dlaczego i kto wrzucił mojego kota na wybieg Zabija. Nawet po latach nikt nie chciał mi powiedzieć. Kiedy, sprowadzony przez Raka, przybiegłem zdyszany na miejsce i wspiąłem się na dach szopy, zobaczyłem

zapędzonego w kąt kota. Zjeżony do granic możliwości wydawał z siebie dźwięki, od których ścierpła mi skóra na całym ciele. Bez wątpienia to był Mech, mój Mech! Nie miał żadnych szans, przecież nigdy nie walczył z żadnym psem, a co dopiero z Zabijem. Zderzenie małego kota z kilkudziesięcioma kilogramami furii, gniewu i rozpaczy mogło mieć tylko jedno zakończenie. W powietrzu unosiła się woń strachu i śmierci. Szczercząc kły, Zabij szykował się do ataku, a z jego gardła dobiegał głuchy bulgot. Histerycznym dyszkantem zacząłem wrzeszczeć: – Stój! Przestań! Pomóście! Niech ktoś mu pomoże! Ratunku! Mech! Mech! Mech!

Obudziłem się białej sali, pozawijany w bandażu i oklejony plastrami. Mój desperacki skok w kierunku wybiegu zakończył się zderzeniem z murem i upadkiem po jego zewnętrznej stronie. Złamana ręka oraz obojczyk, pęknięta kość czołowa czaszki, wybite dwa zęby. I poraniona dusza. Kiedy otworzyłem oczy przy łóżku siedział dziadek i gładził mnie po dłoni. Po policzkach płynęły mu łzy. Żaden z nas nie powiedział tego dnia ani słowa. Jakiś czas później wróciłem do domu, ale długo nie chciałem wychodzić ze swojego pokoju. Nie ciągnęło mnie nawet do leśnego mchu. Na pościeli znów zaczęły się pojawiać mokre plamy.

– Gagarin, piłka! Gdzie patrzysz pierdoło!

Aaa, przecież mecz! Raz jeszcze futbolówka wtoczyła się do naszej bramki.

– A wy patałachy z obrony, to gdzie byliście jak strzelał! – odpyskowałem i wykopałem piłkę najdalej jak umiałem.

Gagarin i Gagarin! W kółko ten Gagarin! Cała wieś mnie tak nazywała, dzieci i dorośli, kobiety i mężczyźni, bez różnicy. Nawet wioskowy głupek tak za mną pokrzykiwał. Wyglądało na to, że nie było nikogo, kto by nie wiedział o mojej kosmonautycznej pasji. Widać szybko rozeszła się historia o tym, jak odpowiedziałem na pytanie przedszkolanki. Pani Wanda wypytywała któregoś razu, kim chcielibyśmy zostać kiedy dorośniemy. Dziewczynki mówiły, zdaje się, coś o lekarkach, pielęgniarkach, nauczycielkach, tylko Zocha chciała być traktorzystką. Większość moich kolegów widziała się w mundurach strażackich lub milicyjnych, paru chciało być żołnierzami (przeważnie czołgistami), a jeden nawet kowbojem! Ja zaś, nawet nie mrugnawszy powiedziałem, że... będę kosmonautą. No i poszło. Najpierw śmiech, a potem okrzyki na całe przedszkole – Gagarin, Gagarin, Gagarin! Za mną to wołali Gagarin, a za Zochą jakoś nikt nie wrzeszczał – Traktorzystka!

Tak, chciałem polecieć w kosmos jak on. Cały mój pokój był obwieszony jego fotografiami z gazet. Miałem też cały karton artykułów – ludzie sami z siebie przynosili różne wycinki. Nad łóżkiem kołysał się, przyczepiony nitkami do sufitu, własnoręcznie wykonany kartonowy model *Wostoka 1*. Oczywiście nie byłby taki ładny, gdyby nie pomoc dziadka, który wsparł mnie, zwłaszcza na etapie malowania, do którego brakowało mi cierpliwości i precyzji.

Naprawdę sporo wiedziałem eksploracji kosmosu, bo już dobrze czytałem. Pochłaniałem wszystkie dostępne informacje także i o Juriju. Jednak wcale nie podziwiałem jego odwagi, nie pragnąłem też badać kosmosu by dzielić się wiedzą z ludzkością. Ja po prostu chciałem... opuścić Ziemię. Najzwyczajniej uciec. Schronić się w kosmicznej pustce przed wszystkim czego się bałem.

Letnimi wieczorami wymyślałem się z domu na łączkę w naszym sadzie. Leżąc w wysokiej trawie chłonałem aromaty ziół i napawałem się widokiem atramentowego nieba, gęsto usianego gwiazdami. Kiedy już się nim nasyciłem, zamykałem oczy i marzyłem, że jestem Gagarinem. Odziany w niewygodny kosmiczny kombinezon, szedłem zamaszystym krokiem przez kazachski step, wprost ku stalowej wieży startowej zbudowanej w sercu kosmodromu Bajkonur. Stał przy niej *Wostok-1* – cud radzieckiej techniki. Z uśmiechem patrzyłem, jak gotowy do startu pojazd swoim ostrym dziobem butnie rzuca wyzwanie rozgwieżdżonemu niebu. Winda wywoziła mnie kilka pięter w górę. Nim zatrzaskiwałem za sobą masywny właz, raz jeszcze spoglądałem w dal, ku stepowi, i wciągałem do płuc ziemskie powietrze. Miałem nadzieję, że robię to po raz ostatni. Przypięty pasami niecierpliwie czekałem na start. Odliczanie ciągnęło się w nieskończoność. Aż wreszcie ten huk silników. Ich potężna moc i prędkość czterdziestu tysięcy kilometrów na godzinę niemal pozbawiała świadomości. A po trzynastu minutach pionowego lotu, kiedy *Wostok* odrzucił wszystkie człony napędowe, zapadała cisza. Bezszelestnie krążyłem wokół naszej planety. Przyjrząwszy się jej wiedziałem, że Jurij miał rację – jest piękna. Z tak odległego dystansu niebieskozielona kulka zawieszona na czarnym tle była absolutnie piękna! Nie chciałem nawet myśleć o tym, że w końcu wyląduję na jakimś burym, zakurzonym, nadwołżańskim kartoflisku pod Saratowem.

Otwierałem oczy i znów byłem otoczony nocną łąką, zapachem koniczyn, mniszków, pokrzyw, schnącej trawy. Znad rzeki nadciągała gęsta mgła. Musiałem wracać.

Długo byłem przekonany, że ten cały Gagarin pojawił się, gdy wieś dowiedziała się o mojej miłości do kosmonautyki. Krążyła przecież opowiadka o tym, co powiedziałem w przedszkolu. I to przezwisko nie bolało wcale, bo chciałem polecieć jak Jurij. Zrobiło się gorzko dopiero, kiedy dowiedziałem się, że przedszkolne rozmowy o zawodach nie miały nic wspólnego z historią mojego przydomku. Nie rozumiem, jakim cudem wcześniej nie połączyłem się, że nazywano mnie Gagarinem jeszcze zanim poszedłem do przedszkola!

Było tak. Na pewno słyszałem głośny, przeciągły ryk, potem poczułem gwałtowne wstrząsy, przyspieszenie i chyba... lot. Przez ułamek sekundy powietrze owiewało mi twarz. W końcu – przerażający huk, uderzenie i ciemność...

Nie leciałem tak długo jak Jurij. Dystans też pokonałem znacznie mniejszy – ojciec rzucił mną ze środka pokoju, więc do ściany czy szafy było najwyżej ze dwa metry. Po uderzeniu musiałem na jakiś czas stracić przytomność, nie miałem skafandra ani hełmu, które by mnie ochroniły. Na podłodze leżałem cicho, jednak wcześniejszy krzyk i hałas ściągnął z kuchni babcię. Kiedy wpadła do pokoju przestraszona, ojciec już z niego wybiegał. Podobno śmierdział wódą. Jak zawsze. Kiedy już byłem dorosły i już się go nie bałem, spytałem, co się wtedy stało. – Przecież ja miałem tylko dwa lata, czemu to zrobiłeś? Podpadłem ci czymś? Gaworzyłem za głośno? Rzuciłem w ciebie klockiem?

– Nie wiem, nie pamiętam, byłem pijany – odpowiedział.

Jakimś cudem ktoś obcy dowiedział się o zajściu, ktoś inny powtórzył dalej, a jeszcze ktoś inny zażartował, że pewnie po uderzeniu zobaczyłem gwiazdy jak Gagarin... Był śmiech, ludziom się spodobało. Zostałem Gagarinem.

W dniu, w którym odbyłem lot zmieniło się moje życie. Wieczorem, kiedy z pracy wrócił dziadek, jak zawsze przywitał się z babcią. Potem wymył się w emaliowanej misce, przebrał w czystą, choć połataną koszulę i usiadł przy kuchennym stole. Babcia zaś, stawiając przed nim talerz gęstej parującej kartoflanki, zaczęła cicho mówić. Kiedy kończyła, szlochała. Dziadek zaś, już po pierwszych kilku zdaniach przestał jeść. Słuchał tylko, a kiedy zapadła cisza podniósł się i poszedł do sypialni by na mnie popatrzeć. Mimo, że posiniaczony spałem spokojnie w ich łóżku. Kiedy wrócił do kuchni drżał cały z emocji.

Zostałem już u dziadków. I nigdy, ani ojciec, ani matka, słowem się nie zająknęli bym wrócił do tej części naszego wielkiego pruskiego domu, którą

zajmowali. Wszystko odbyło się w ciszy, bez słów. Gdy poznawałem tę historię, czułem jak umiera moja kosmiczna miłość. Niedługo później zginął też sam Gagarin, ten prawdziwy. Jego nazwisko pozostało ze mną, ale za każdym razem kiedy tak się do mnie zwracano, czułem ukłucie bólu.

Choć pozostałem u dziadków, ojca wciąż się bałem. Zwłaszcza gdy pijany krążył po swojej części domu i pod naszymi oknami, mamrocząc przekleństwa. Robił to tylko, gdy dziadek był w pracy. Wtedy nagle stawał się odważny, krzyczał coraz głośniejsze słowa, o bękartach, o zabijaniu. A czasem łomotał do drzwi. Na szczęście były zawsze zamknięte. A potem wracał dziadek i choć krzyki cichły, ja nie odstępowałem go już na krok.

Uwielbiałem niedziele, bo wtedy dziadek zostawał w domu. I sporą ich część oddawał mnie. Rano, siedząc przy stole łokieć w łokieć, niespiesznie jedliśmy zupę mleczną z zacierkami, zagryzając ją pajdami chleba o chrupiącej skórce. Po śniadaniu wychodziliśmy na podwórkę, gdzie kury grzebały w ziemi z taką zaciekłością, jakby poszukiwały skarbu. Tylko kogut nie zniżał się do tak przyziemnych czynności. Nazywaliśmy go Napoleonem. Przechadzał się powoli, z dumnie nastroszonym grzebieniem. Nosił wysoko uniesioną głowę, przez co sprawiał wrażenie, że cały czas o czymś rozmyśla, że snuje jakieś wielkie plany. Zdaje się, że ich nie zrealizował. Pożarła go któregoś lata kuna albo tchórz. Została po nim ledwie garść piór rozrzuconych bezładnie w kurniku.

Minąwszy kurze stado szliśmy do sadu, gdzie pomiędzy jabłonią stały ule. Odwiedzaliśmy je często, bo dziadek kochał pszczoły. Doglądał je, pielęgnował, rozmawiał z nimi, a mnie tłumaczył zawiłości życia tych pracowitych owadów. Po tym rytuale siadaliśmy w cieniu jabłoni. Najczęściej dołączała do nas babcia. Przynosiła coś do picia i na chwilę przysiadła z nami. Ścisnąłem dłoń dziadka, a głowę układałem na kolanach babci. Usypiało mnie monotonne brzęczenie pracujących dookoła owadów. Od czasu do czasu unosiłem powieki, tylko po to, by móc raz jeszcze spojrzeć z bezgranicznym uwielbieniem w szare, mądre oczy dziadka.

Miałem sześć lat gdy do naszego domu przyszedł Pan Dyrektor. Zнали się z dziadkiem dobrze. Chciał bym zaczął szkolną naukę rok wcześniej niż należało. Czytać już dawno umiałem, liczyć też, byłem stałym bywalcem wiejskiej biblioteki, ale to wcale nie znaczyło, że bym się palił do szkolnych nauk. Nie tęskniłem też do towarzystwa innych dzieci. W zupełności wystarczały mi

doświadczenia przedszkolne i podwórkowe. Przeszując nerwowo z nogi na nogę podsłuchiwałem rozmowę dorosłych dobiegającą z sąsiedniego pokoju. Słyszałem jak Pan Dyrektor, tubalnym głosem przypominającym buczenie trzmiela, przytaczał argumenty za wcześniejszym pójściem do szkoły. Niepokoiłem się, bo dziadek długo milczał. A kiedy się w końcu odezwał, aż pisnąłem z radości.

– Ma całe życie na naukę – powiedział – zdąży poznać wszystkie szkolne mądrości, a teraz niech sobie jeszcze ten rok polata i użyje wolności.

Byłem tak wdzięczny, że nie czekając na koniec rozmowy dorosłych wpadłem do pokoju i rzuciłem się dziadkowi na szyję. Obaj mężczyźni roześmiali się serdecznie. Dziadek nie wyglądał na zagniewanego z powodu mojego podsłuchiwania, a i Pan Dyrektor najwyraźniej nie miał żalu o to, że odmówiono jego prośbie. Nie pierwszy raz byłem świadkiem jak dziadek, w jakiś sobie tylko znany sposób, zjednuje ludzi. Nie mówił wiele, nie starał się nikomu przypodobać, a wszyscy go szanowali.

Uśmiechałem się błogo do siebie na myśl o tej scenie, kiedy nagle poczułem szarpnięcie za ramię. Jedno, a zaraz potem drugie.

– Gagarin, Gagarin, twoja matka tu leci!

Lekko zdezorientowany wracałem do rzeczywistości rozglądając się po zakurzonym podwórku. Zobaczyłem jak na improwizowane boisko wpada matka. Oczywiście z krzykiem. Z potoku słów wpływających z jej ust wyławiałem tylko niektóre. Szarpała mnie i popychała, ciągle wrzeszcząc. Kiedy wreszcie dotarło do mnie, że jednym z wciąż powtarzanych przez nią słów jest „dziadek”, wyrwałem się i, nie oglądając się na nią, popędziłem do domu.

W kuchni pełnej ludzi ktoś, nie pamiętam kto, chwycił mnie za ramię i usłyszałem – idź do sypialni. Wszedłem wstrzymując oddech. Byliśmy sami. Mimo, że był dzień, na naktkastliku paliła się gruba żółta świeca. Wgramoliłem się na łóżko, położyłem obok i przytuliłem. Ścisnąłem mocno jego dłoń. Czy to możliwe bym wtedy, w tych emocjach, wyczuwał puls? Teraz, po latach, wydaje mi się, że czułem słabnące tętno. Mimo to, głaskał mnie po głowie bez przerwy i szeptał – mój Groszku, mój Groszku, mój Groszku... Coraz ciszej.

W nocy niepostrzeżenie zakradłem się do pokoju. Trzy „czuwające” w półmroku kobiety z zamkniętymi oczyma kiwały się na krzesłach. Oddychały miarowo, a z ich pomarszczonych rąk zwisały różańce. Podeszedłem bezszelestnie

i w dłonie dziadka splecione na piersiach wcisnąłem figurkę najdzielniejszego z moich Indian. Wtedy dziadek otworzył oczy i pytająco spojrział na mnie. Przykładając palec do ust i wskazując głową na posapujące kobiety w czerni, dałem znak, że musimy być cicho. Mrugnął porozumiewawczo i powoli zamknął powieki. Ja zaś, czerwoną świecową kredką napisałem na wysokości jego głowy, tak by łatwo mógł przeczytać, po wewnętrznej stronie trumny, słowa przeznaczone tylko dla niego. Dwa słowa.

Krzysztof Szkulatowski

Warkocze

Jurek 1939

Zapowiada się piękne lato. Mam na myśli nie tylko pogodę. Właśnie skończyłem Szkołę Powszechną w Orlu i poczułem smak wolności. Wprawdzie ojciec wysłał mnie do majątku stryja Antoniego i przydzielił mi tu zapewne ciężką pracę w polu, nikt jednak nie wie jak bardzo chciałem się tutaj znaleźć!

Powodem mej radości jest śliczna dystygowana kuzyneczka Mili, w której jestem zakochany od dwóch lat. Jest nieco starsza ode mnie, ale przecież ja też niedługo będę już dorosły! Liczę również na to, że stryj Antoni pozwoli mi obejrzeć film wyświetlany z kinematografu. Byłby to pierwszy film w moim życiu.

W sercu słowiki, a słońce rozpieszcza najdłuższymi promieniami w roku. Jakże się cieszę na to lato!

W majątku stryja Antoniego w Barłominie jak zwykle panuje ład i porządek. W tym roku dba o to syn zagrodnika - Paweł. Podjazd uporządkowany, dom lśni czystością, równie zadbane są budynki gospodarcze. Nawet łany za stodołą zdają się kołysać na wietrze miarowym rytmem. Nie to co u nas - w Pryśniewie, gdzie rodzice całymi dniami kombinują jak związać koniec z końcem i snopek ze snopkiem. Tymczasem gromadka mojego młodszego rodzeństwa, pozostawiona cały dzień bez opieki, potrafi rozpętać niejedną wojnę.

Stryj Antoni też wspomina coś o wojnie, takiej prawdziwej, polsko-niemieckiej. Podobno niedługo ma nastąpić. Ale ja już zauważyłem, że nie wszystko o czym rozmawiają dorośli, musi być prawdą.

Stryj zarządza gospodarstwem sprawnie i starannie. Osobiście nadzoruje wszystkie prace w polu, stajni i oborze. Od kiedy zmarła ciotka Marta, dogląda nawet prac domowych. Popołudniami natomiast, razem z Pawłem, przebywają w dawnej drewnianej przebudowanej specjalnie na potrzeby kinematografu. Poza nimi samymi nikomu nie wolno wchodzić do tego pomieszczenia.

Tak jak się spodziewałem przydzielono mi prace w polu. Codziennie wiele godzin kosimy i grabimy siano, suszymy na pokosach i zwozimy do stodoły. Nieco później przyjdzie czas na zboża: pszenicę, żyto i jęczmień. Jest to ciężka praca, ale jestem do niej przyzwyczajony. Późne popołudnia mogą na szczęście przeznaczyć na odpoczynek. Staram się wtedy przebywać w pobliżu kuzyneczki Mili. Rozczarowuje mnie jednak jej zachowanie.

Dawniej spędzaliśmy czas na bieganiu i zabawach w pobliskim zagajniku. Mili w tym roku zaczęła traktować mnie jak dziecko. Zauważyłem, że czuje się już dorosła. Widzę też pewną zażyłość między nią, a synem zagrodnika. Z zazdrością patrzę, jak spacerują wieczorami wokół stawu. Jak tylko mogę, chodzę wszędzie za nimi.

Słońce chyli się ku zachodowi. Ostatnie promienie przeciskają się przez mały lasek. Mili i Paweł jeszcze karmią kaczki nad wodą. Podbiegam i ściągam kuzynce wstążki z warkoczy. Innym razem dokuczam Mili słownie. Wiem, że niedługo w majątku zjawi się jej prywatna nauczycielka. Drocę się z dziewczyną ogłaszając koniec jej wakacji, w odróżnieniu gdy moje trwają jeszcze w najlepsze. Nie spodziewałem się, że przybycie panny Gity wiąże się z pewną korzyścią dla mojej osoby. Sprawy nagle przybierają zupełnie inny obrót.

Dni robią się już coraz krótsze, żniwa dobiegają końca, na polach już tylko ścierniska. Nastaly rzeńskie poranki. Nauczycielka Gita przywiozła ze sobą powiew świeżości w postaci naturalnej radości i dobrego humoru. W Pawła jakby piorun strzelił! Nagle zapomniał o Mili i zapatrzony w pannę Gitę, błądzi po majątku nieobecny duchem. Ja w końcu mam kuzynkę tylko dla siebie!

Teraz oboje z Pawłem przedłużamy spożywanie śniadania, aby popatrzeć jak panna Gita zaplata Mili warkocze w sieni. Ja zapatrzony w kuzynkę, a Paweł w nauczycielkę.

Atmosferę psuje jednak stryj Antoni. Rozgłasza w majątku pogłoski o niemieckich prowokacjach na polskiej granicy. Panna Gita potwierdza także plotkę o zatrzymaniu trzech niemieckich żołnierzy w jej rodzinnej Kamienicy Królewskiej. Mili boi się wojny. Najgorsze jednak, że ma złamane serce. Nie może się pogodzić ze związkiem nauczycielki i Pawła. Widzę jak cierpi. Wieczorami razem podglądamy zakochanych.

Syn zagrodnika i panna Gita spotykają się potajemnie w starej drewni. Patrzymy jak siedzą objęci i oglądają filmy. Ja również jestem zły!

Wakacje mają się ku końcowi, zapchana stodoła pachnie świeżym sianem. W suszarni suszą się zboża, a stryj Antoni nie wyświetlił dla nas żadnego filmu. Twierdzi, że to rozrywka tylko dla dorosłych. Razem z Mili knujemy spisek. Postanawiamy z zemsty zniszczyć miejsce spotkań nauczycielki i Pawła. Podpalamy kinematograf!!!

Płomienie buchają ostro w górę, ludzie biegną w popłochu po całym majątku, Stryj Antoni rwie włosy z głowy, gdy pierwsze promienie porannego słońca odsłaniają zgliszczą starej drewni. Na szczęście nikt nie zginął. Nad ranem widzę swój czyn z całym jego okrucieństwem i konsekwencjami. Jest już jednak za późno na wyrzuty sumienia, na karę, na odkupienie win.

Wraz z pierwszymi obłokami pędzącymi z Zachodu w majątku pojawia się listonosz. Depesza do Pawła zawiera rozkaz natychmiastowego stawienia się do wojska. Właśnie wybuchła wojna!!!

Gita 1944

Walka trwa w najgorsze! Moje popękane serce rozrywają na strzępy liczne ostrzały, wybuchy i naloty. To już drugi miesiąc akcji „Burza”. I znowu mamy wrzesień. Tym samym naszły mnie wspomnienia... Całe pięć lat nie widziałam mojego ukochanego Pawła. Codziennie umieram z tęsknoty, z niewiedzy, z bezsilności i ze strachu...

Jeszcze ten dzieciak – Jurek, nie wiem skąd się tu wziął, jak mnie znalazł w Warszawie? Nie chce mówić nic o sobie. Trochę wyrósł, ale źle wygląda, jest skruszony i przybity. Byłam na niego taka zła...! Teraz mi go żal.

Załatwiłam Jurkowi zajęcie w Harcerskiej Poczcie Polowej. Z resztą już przyniósł dla mnie wiadomości z Pomorza. Przynajmniej wiem, że Paweł żyje. Podobno wspiera Tajną Organizację Wojskową „Gryf Pomorski”. Walczą jak my tutaj – w stolicy. Jurek pomoże nam się odnaleźć, jak tylko skończy się to piekło.

Na razie trwa wojna o Warszawę. Przedzieramy się z Żoliborza na Starówkę, by pomóc innym powstańcom. Niemcy rażą nas ogniem z pociągu pancernego i Cytadeli. Wywlekają ludzi z domów, kamienic, szpitali.... Rozstrzeliwują na miejscu uciekających z fabryk. Palą budynki.

Nie taki miałam obraz Warszawy w 1939 roku, kiedy to pan Antoni pomógł mi tu uciec przed niechybną śmiercią w Piaśnicy.

Moja dusza, moje sumienie przeżywają katusze. Płacę, słyszę swój własny lament. Jurek przyniósł też złe wiadomości... Nie wiem, jak dalej żyć z faktem, że to mój wybawca – pan Antoni i słodziutka Mili zostali rozstrzelani w lasach piaśnickich...!

Kolejny rozkaz! Trzeba walczyć, trzeba trwać dla Pawła, dla mej miłości...!

Niemcy wytaczają ciężkie moździerze oblężnicze. I znów bombardowania lotnicze i silny ostrzał artyleryjski. Warszawa w ogniu...! Żoliborz kapitułuje!!

Paweł 1996

–Jest pan już dojrzałym reżyserem. Mam na myśli pana dorobek zawodowy, liczne sukcesy i spuściznę, z której czerpie młode pokolenie filmowców. Pana ostatnie dzieło podobno nosi ślady osobistych przeżyć. Czy można wobec tego film ten uznać za autobiograficzny?

–Nie do końca. Historia ta tylko częściowo jest prawdziwa. Wybuch II wojny światowej skomplikował losy ówczesnego pokolenia młodych. Tło historyczne i postaci są oczywiście prawdziwe. Uprościłem jednak różne wątki, aby nadać scenom więcej romantyzmu, spełnić oczekiwania potencjalnych odbiorców.

–Paweł Brylewski to nie tylko pana nazwisko. To już marka producenta o europejskiej renomie. Interesuje mnie, dlaczego nie pokusił się pan o fabułę opartą tylko na prawdziwych wydarzeniach?

–Nie ukrywam, że miałem ku temu osobisty powód. Chciałem oddać hołd mojej pierwszej miłości, jaką była Gita Rytłewska oraz przyjacielom z młodości. Przywrócić im przedwcześnie utracone życie, dać szansę na spełnioną miłość, na naprawę życiowych błędów, na dojrzałe życie po wojnie...

–Zdradzi pan ciekawym widzom, jak naprawę potoczyła się ta historia?

–W moim filmie Jurek pomógł mi i Gicie się odnaleźć pod koniec walk. Tym samym zrehabilitował swój chuligański wybryk sprzed wojny. Wybaczylimy mu, nawet został naszym świadkiem na ślubie. Do końca życia byliśmy z Gitą szczęśliwi i utrzymywaliśmy kontakty towarzyskie z Jurkiem i jego rodziną.

Prawda jest jednak inna. Ja i Gita nigdy się nie odnaleźliśmy. Gita Rytlewska zginęła podczas operacji wiślańsko-odrzańskiej pod koniec wojny. Jurek dostał odłamkiem w trakcie jakiejś potyczki i zmarł w szpitalu polowym w podwarszawskiej Olszance.

–Dlaczego nie reaktywował pan zatem innych ciekawych postaci, np. Mili z majątku pana Antoniego?

–Może dlatego, że nic dla mnie nie znaczyła. Była głupiutkim podlotkiem, bardziej zakochana we mnie, niż ja w niej zauroczony. To nie znaczy oczywiście, że tak młoda osóbką nie zasługiwała na to, żeby żyć... Stało się jednak inaczej. Mili zginęła w Piaśnicy, postanowiłem tego nie zmieniać. Na pewno zawsze będę o niej pamiętał.

–Czy często pan zatem wspomina pannę Rytlewską?

–No cóż... Gita była moją pierwszą, wielką miłością, odwzajemnioną, prawdziwą. Jednocześnie była to miłość tragiczna i niespełniona, przerwana... Nigdy nie mieliśmy szansy być parą oficjalnie.

To z moją obecną żoną – Anną razem leczyliśmy rany po wojnie. Łączy nas pełne, dojrzałe uczucie, rodzina i wiele wspólnych lat życia.

Gita jest już odległym wspomnieniem.

–Czy na koniec zdradzi pan widzom skąd wziął się tytuł filmu: „Warkocze”?

–Wpadłem na ten pomysł przypadkiem, gdy moja żona Anna zaplatała warkoczyki naszej wnuczce. Przypomniałem sobie, że przed wojną z Jurkiem wpatrywaliśmy się, jak Gita zaplata warkocze Mili. To w tym momencie zdecydowałem się w ogóle zrealizować ten film.

–Dziękuję panu za rozmowę. Naszym gościem był wybitny reżyser, scenarzysta i producent Paweł Brylewski.

Aleksandra Paluszek-Kur

Pacjentka

Jeszcze nigdy nie czuła się aż tak źle. Życie uwierało ją jak kamyk w bucie. Odcisk nabrzmiał i urósł do niewyobrażalnych rozmiarów. Stopa nie mieściła się w pantofelku. Nigdy jednak szklanego pantofla jej nikt nie oferował. Obuwie miała mocne, skórzane z masywnymi spodami. Często wiązane glany nosiła tak długo, aż popękały im wierzchy i trzeba było coś z tym zrobić. Była zagorzałą przeciwniczką czytania dziewczynkom bajek o *Kopciuszku* czy *Królewnie Śnieżce*, twierdziła że te teksty deprawują a nawet demoralizują młode dziewczynki, które gotowe są poświęcić resztę życia za cenę osiągnięcia błogostanu, zasłyszanego w dzieciństwie. Ona sama była tego przykładem. Dlatego z taką nienawiścią tępiła i piętnowała te bajki. Dzwoniła nawet do Kazimiery Szczuki, aby ta, dla dobra zdrowia psychicznego przyszłych matek i wychowawczyń, zakazała sprzedaży tych książek. Na próżno! Wszyscy, jedynie z politowaniem i zaskoczeniem, wysłuchiwali frustrujących pomysłów matki synów, która nie wiadomo po co, troszczy się o losy dziewczynek.

Myśli samobójcze towarzyszyły jej od momentu, kiedy wyszła za mąż. Myślała, że życie będzie wyglądało tak, jak w filmie amerykańskim; będą spacer, rozmowy i wyjazdy... a tu smutna rzeczywistość dopadła ją wcześniej niż się tego spodziewała. Były, owszem obiady przez nią gotowane, sprzątanie, prasowanie, zmiatanie i dbanie o dziecko, a później jeszcze jedno i następne. Mąż, wiecznie zmęczony i markotny. Człowiek obcy i niemający nic wspólnego z wielką miłością i pragnieniem czy pożądaniem.

Proza życia! – mówiły sąsiadki, które same tkwiły w takim półgrobie albo półpiekle, w zależności, która z nich miała furiata, egocentryka czy też narcyza za męża.

– Ale się nie martw, bo to minie! – pocieszały bo ani się obejrzysz, a już będziesz miała siwe włosy i zmarszczki. Przyzwyczajasz się. Każda z nas się przyzwyczaiła. Dzieci nie pozwolą ci na rozczulanie się nad sobą!

I rzeczywiście, dzieci im starsze, tym gorsze. Prócz ciągłych wyzwisk i kłótni rościły sobie, jakimś niepisany prawem, posiadanie mamy na wyłączność, według swoich większych bądź mniejszych kaprysów. Jakby jej powołaniem była służba – i to jeszcze służalcza – w spełnianiu kaprysów marzeń tych nieletnich istot. Wiecznie zde gustowanych i znudzonych roszczeniowym podejściem do życia, Pierwotne ssaki w łańcuchu pokarmowym stworzonym przez nieobliczalną Matkę Naturę XXI wieku.

– Ale żebym nie mogła być chora? – zastanawiała się Ona, smutno patrząc na dwudziestoletni staż pożycia małżeńskiego. – Ani jednego dnia nie mogłam poświęcić na to, żeby poleżeć w łóżku i wygrzać grypę, przeziębienie czy zapalenie oskrzeli. Zawsze coś. Zawsze ktoś był ważniejszy: to do szpitala wyprawić, to ugotować i posprzątać.. Ledwo człapałam, ale wszystko musiało być zrobione. To krępujące! – myślała.

Mąż pracował w fabryce okien. Codziennie zrywał się o piątej i wracał o dwudziestej. Przychodził zmęczony. Siadał na kanapie drzemał, Ona zestawiała talerze i nieśmiało spoglądała na jego pomarszczoną twarz. Nie widziała w nim niczego interesującego Kojarzył jej się z człowiekiem zmęczonym, niosącym plecaki napisem: kredyt. Żal jej było życia, bo drugiej szansy nie będzie. Wzdychała pod obrazem Matki Boskiej. chociaż bez większego przekonania i wiary w cudowną moc Najświętszej.

– Pójdę do pracy – oznajmiła i zatrudniła się w PKP do sprząwania pociągów. Praca była ciężka i mało interesująca. Koleżanki nudne, często po przejściach, bez entuzjazmu podchodziły do każdego dnia. Ona, enigmatycznie spoglądała w swoje wnętrze i wydawało jej się, że przynajmniej poogląda sobie podróźnych. Tyle satysfakcji. Reszta nie miała znaczenia. Wracała do domu robiła swoje; stały obrządek. W sobotę był sex, chociaż trudno nazwać to jakimś wielkim uniesieniem, po prostu zwyczajna kopulacja męża z żoną. On, po sześciu piwach, ślinił się i dotykał jej piersi, włosów... Ona, popędzała go, żeby mieć go z głowy. Wszystko trwało kwadrans. Po czym szła się myć. Wycierała skrupulatnie frotowym ręcznikiem ciało jakby z obrzydzeniem dla siebie i niego.

Pewnego dnia znalazła portfel, w nim zdjęcia: kobiety, dwójki dzieci, dowód osobisty, kartę do bankomatu i 300 złotych. Schowała to do kieszeni. Długo zastanawiając się, co z tym zrobić. Złodziejką przecież nie jest? Może wyjąć pieniądze, a resztę odesłać pocztą – myślała, lecz to niepokoiłoby ją do końca życia. Postanowiła zatem oddać zgubę właścicielowi. Po pracy

wsiadła do autobusu i dojechała na Cisową. Piękny dom z zachwycającym tarasem i niebieskimi oknami. Trochę ją onieśmielił. Na podwórzu stała trampolina, w której skakały dzieci. Nieśmiało nacisnęła guzik dzwonka przy bramie, w której stanął mężczyzna w jej wieku. Był wysoki i wysportowany, Miał łagodne oczy i wąskie usta. Spojrzał na nią łagodnie, a ona wręczyła mu portfel. Mężczyzna zaprosił ją do środka. Ona nie wzbraniała się. Weszła do dużego i jasnego salonu nieco onieśmielona. Zrobił kawę dziękował za dobre serce i uczciwość. Był fotografem. Pokazał jej pracownię, mnóstwo zdjęć. W większości twarze ludzi: zatroskane i radosne, młode stare, Jedno zdjęcie – perła, jak je sam nazwał, nie dawało mu spokoju. To zdjęcie kobiety, które zrobił z okna pociągu, kiedy ten nieoczekiwanie zatrzymał się między Bożympołem a Wielistowem. Ta informacja bardzo ją zaciekawiła.

– Sfotografowałem nimfę! – oznajmił. – Długo szukałem tej kobiety na portalu społecznościowym, lecz bez rezultatu. Nikt jej nie znał albo nie widział. Zjawisko. Postać neurotyczna. Sam nie wiem kto, a może co. Podał jej zdjęcia Ona, zaniemówiła. Zobaczyła siebie, tańczącą w jedwabnej koszuli z wiankiem na głowie. Zjawisko – pomyślała i zawstydzila. Nikt o tym nie wiedział, że wymykała się latem z domu i tańczyła na łąkach. Piła wino. Płakała i krzyczała. Chciała swój los wyrzeszczyć i przekląć. Pamięta dobrze, kiedy się jeszcze buntowała przeciwko konformizmowi życiowemu, kiedy chciała zachować swoje autonomiczne przestrzenie. Boże! Udręka!

– Przegrałam! – wszeptowała nieśmiało. – Straciłam wszystko to, co było ważne. Dałam się urobić. On słuchał i nie rozumiał. Patrzył na zdjęcie tańczącej kobiety z takim zachwytem i podziwem, jakby oglądał Mona Lissę Leonarda da Vinczego. Przeniósł się do innego świata. Zamarzył się i widać było, że tęsknił do zjawy, którą sfotografował.

Weszła jego żona i zapraszała na obiad, lecz ona podziękowała. On, chciał dać znaleźne, ale ta poprosiła o kopię zdjęcia tańczącej kobiety. Fotograf się zgodził. Przyniesie za dwa dni na dworzec.

– Mam drugą zmianę – oznajmiła Ona i dała mu numer telefonu.

– Idealista – myślała Ona przez całą drogę powrotną do domu. Widać, że kocha swoje życie, ale z takim pożądaniem patrzył na zdjęcie tańczącej. – Boże Wybacz!

Weszła do domu rozpromieniona. Posprzątała brudne naczynia. Złożyła ubrania i zaczęła odrabiać lekcje z najmłodszym dzieckiem. Miłość życia drzeła w fotelu. – Żałosne! – pomyślała. Kiedy dom zasnął, Ona rozebrała się. Stała przed lustrem i zapłakała.

– Życie! Dziwko jedna! – przeklęła. Ubrała długą suknię i wyjęła butelkę wina. Trzasnęła drzwiami. Poszła na łąkę. Ciało jej płonęło. Była kobietą. Pragnęła życia i soków życia, Zaczęła się tarzać w trawie i wcierać jej miękkie i soczyste łąty w siebie. Delikatne muśnięcia miały jej wynagrodzić pieszczoty, których tak pragnęła.

Wróciła nad ranem. Brudna, zielona i pijana. Nie sprzątała. Położyła się na kanapie. Spała. Dzieci były zdziwione. Wąchały i dotykały ją. Myślały, że jest chora. On, wyjaśnił, że jest pijana i, że same mają dzisiaj sobie radzić.

Nazajutrz, Ona, wypłaciła pieniądze z bankomatu. Kupiła białą płócienną sukienkę, kosmetyki, sandały. Przygotowała się na spotkanie z fotografem. Czekwała na niego podniecona. Przyszedł. Była dwudziesta. Nieśmiało dopytywał o tę, co sprząta i ma jasne włosy i niebieskie oczy. Imienia nie pamiętał, ale był umówiony. Ona, wyszła z wiankiem na głowie i on zaniemógł.

– Tej szukałeś? – powiedziała.

– Ale? Ty?

– Że tylko sprzątam? – zapytała.

Fotograf z niedowierzaniem chwycił ją za rękę.

– Jesteś prawdziwa! – oznajmił naiwnie. – Szukałem cię! – dodał.

– To nic! – powiedziała Ona i zaczęła zmywać makijaż.

– Zostaw! – prosił.

– Daj spokój, to taki żart! – oznajmiła, nieco speszona, na co on, że opowie jej całą anegdotę związaną ze zdjęciem i jeszcze o swoim życiu, pozornym i z wierzchu, że dobrze, ale tak naprawdę to on się dusi, chce żyć, a nie żeby tylko ładnie: czysto i gładko i tuciu-puciu.

– Nie mam czasu! – oznajmiła Ona i poszła się myć.

– Zostań! Proszę!

– Już nie masz do czego tęsknić! Przykro mi! – powiedziała Ona.

Rozdygotana wróciła do domu. Mąż spojrział na nią. Ona skuliła się w kącie i zaczęła nerwowo drapać się po głowie. Podkuiliła nogi tak, że z łatwością mogła je opleść obiema rękami.

– Nie ma co! – rzekł mąż. – Musimy jechać do szpitala.

Chwycił ją oburącz i zaniósł do samochodu. Ona, niczym bezwiedna kukielka, nie stawiała oporu. Z serdecznego palca zdjął obrączkę – żeby nie ukradli – powiedział. A dla niej to była jedyna rzecz, którą lubiła od niego. Złota, gruba obrączka z grawerem: „Do utraty sił”.

On zaniósł ją na parter szpitala psychiatrycznego w Łęborku.

Mały budynek osadzony wśród topoli w malinowej elewacji, przypominał domek Baby-Jagi. Na parterze i piętrze kraty, na zewnątrz murowany grill otoczony drewnianymi pergolami. Wewnątrz złotawa lamperia idealnie komponowała się z pomalowanymi na biało drzwiami. Na parterze pacjenci najmocniej chorzy: alkoholicy, schizofrenicy, na piętrze – kobiety uzależnione od alkoholu, które czekały na miejsce w innym szpitalu psychiatrycznym: Słupsku bądź Gdańsku.

– Poobserwujemy ją – powiedział lekarz i podał mężowi rękę na do widzenia.

– Zabierz mnie stąd! – krzyczała bezradnie Ona – zabierz mnie i nie zostawiaj! Nic mi nie jest! Jestem zdrowa. Dzisiaj miałam wyjechać. Proszę cię! Błagam! Proszę! Nic mi nie jest! Jestem zdrowa. Przez ciebie się spóźnię i nie zdążę! On wyjedzie beze mnie! A tego przecież nie chcesz! Przecież mówiłeś, że mnie kochasz! Proszę!

On rozłościł się i pochylił nad nią.

– O kim mówisz?! – syknął przez zęby.

– No, o nim – powiedziała Ona bezradnie i pokazała na miniaturowy wręcz krzyż nad drzwiami.

– Głupia! – rzekł – jakby mało miał człowiek zmartwień! – dodał na koniec.

Drzwi się zamknęły. Lekarz podał jej lek. Ona skuliła się niczym pies i nakryła kocem. Podśluchiwała. Pacjenci przemieszczali się po wąskim korytarzu. W rogu grał telewizor. Dobiegały krzyki z sąsiedniej sali: alkoholik, przywiązany pasami wrzeszczał, że wszystkich zabije, że jest zdrowy, tylko stąd wyjdzie, pokaże wszystkim, co to znaczy więzić człowieka. Pod oknem jego partnerka wrzeszczała, że jej ukochanego mordują, że ona tego tak nie zostawi, do telewizji pójdzie, światu powie...

– Jestem w piekle – pomyślała Ona i staranniej naciągnęła koc na głowę. On już pojechał! Zapomniał! Oj, zostałam sama! Żadnej nadziei! A przecież już miałam żyć! Miałam kochać i czuć się kochaną!

Rano obchód. Podali jej termometr, pytali o zdrowie. Zaglądali pod koc i dotykali pleców. Pacjentka z sali obok w intensywnym makijażu i stroikiem ze sztucznych kwiatów na głowie poszła na papierosa. Zaduch, który panował na sali i korytarzu stawał się nie do zniesienia. Dławił i krztusił. Wdzierał się do gardła i smakował brudnym mopem i przepoconą bielizną.

Ona znowu zaczęła się drapać po głowie. Przeczesywała palcami przetłuszczone włosy. Zakrywała nimi twarz, jakby chowała się za parkanem. Nie mogła na to patrzeć. Nagle dobiegł ją głos schizofrenika, któremu wydawało się, że może wszystko. Swoją przepoconą ręką dotkną jej piersi. Ona krzyczała najgłośniej, jak tylko potrafiła, aż pacjentka z drugiego łóżka zerwała się i zaczęła powtarzać, że to tylko pomówienia. że ona nic nie zrobiła, to tylko pomówienia.

– Zabierzcie go! – wrzeszczała Ona i kurczowo chwytła się poręczy metalowego łóżka.

Kiedy zjawił się jej mąż, Ona, znowu zaczęła go prosić, żeby ją zabrał do domu.

– Musisz tutaj trochę pobyc – tłumaczył niecierpliwie i odsuwał jej rękę.

– Ile? – przytomnie zapytała.

– To się okaże! Lekarze diagnozują! Boże, co mi jeszcze przysporzysz! – użalał się nad sobą. – Tyle zajęć i jeszcze to! – wyrzekł z politowaniem i żalem On. Po czym postawił dwie reklamówki ubrań i dodał, że będzie w piątek.

– Zostań! – prosiła Ona. – Oni mnie zamordują, a ja jedynie chciałam...

– Jesteś chora! – powiedział. – Musisz tu zostać! Zdiagnozują, powiedzą co i jak.

– Pierdol się! – wrzasnęła i nakryła się kocem.

– Za wcześnie na diagnozę – oznajmił lekarz. – To nie jest piekarnia. Trzeba poobserwować. Dobrać leki, następnie podjąć dalszą rekonwalescencję. Proszę się uzbroić w cierpliwość. To potrwa miesiąc, dwa..., a może i dłużej. W zależności czy pacjentka będzie współpracowała. Wszystko zależy od niej, bo jak na razie jest oporna na dialog. Mówi stale o fotografii. Kto to? Kochanek?

– Nie znam! – odpowiedział On. – Zawsze była w domu, ale kiedy zaczęła pracować, coś jakby się zmieniło.

– To znaczy? – dopytywał zmęczony lekarz.

– Kwitła.

– To dobrze, kiedy kobieta jest zadbana.

– To nie było zadbanie, to była euforia, ekstaza. Moja żona zachowywała się, jak wypuszczony z klatki ptak. Ale pan tego nie zrozumie, bo nigdy nie widziałem kogoś tak radosnego. Ona tańczyła. Ona fruwała. Wymykała się nocą i wracała nad ranem myślała. Że nie wiem, ale rano patrzyłem na jej radosną twarz. Przypominała dziecko. Beztroska i szczęśliwa. Miała brudne

od traw nogi i sukienkę. Myślę, że nie miała kochanka, ponieważ... chociaż sam nie wiem? Czy coś innego jest w stanie rozbudzić tak kobietę? Ona płonęła, a ja nie byłem stanie ugasić żaru! Czy pan to rozumie? Żona płonie, a ja udaję, że nie widzę, Brakowało ni odwagi, Zawstydzilem się. Pomyślałem, że nie ma co. że już po czterdzieście jesteśmy, że połowa za nami, więc trzeba sobie darować. Iść spać. Nie myśleć, nie trapić się i nie zawstydząć. Życie przeminie i nic ci nie zostanie; zmarszczki, siwe włosy i bagaż trosk. Ja stchórzyłem! Długo się jej przyglądałem i nie dałem rady. Myślałem że Ona, jak moja matka. Tylko dom i dzieci i tyle, ale ona innego kalibru kobieta, Ona chciała latać a ja? Proszę spojrzeć na mnie, czy jestem osobą, przy której można latać?!

– Dzisiaj bardzo mi pan pomógł – oznajmił doktor i podał mu rękę.

Ona smutno spoglądała przez okno. Zjawy i rosa robiły się coraz niewyraźniejsze, nawet fotograf tracił swoje, tak dobrze jej znane, rysy twarzy. Wszystko błędo. – To przez te leki – pomyślała i zaczęła płakać. – Oszalałam! Jestem wariatką! Chryste! Odjechało mi. Nie ma fotografa i podróży. Jestem ja i ja. Jaka ja? Czy ja to ja? Kim jestem? Wariatką? Czy wymyśliłam sobie to wszystko? Czy życie też sobie wymyśliłam? A może ja nie istnieję? Gdzie ja? A miłość? Co to jest? Może nie ma czegoś takiego? Jest On i Ona i dzieci. Czasoprzestrzeń i nic. I ból. Psychiatryk! Więc, gdzie ja? Podcięli mi skrzydła. Oszołomili lekami, ścisnęła w rękę fotografię z kolorowego pisma, na której stał uśmiechnięty i wysportowany brunet. Skrzętnie zapakowane w koszulkę kolorowe zdjęcie z czasopisma dla kobiet „Lata” świadczyło o dbałości o szczegóły.

Ona płakała, bo zabierano cały jej Świat. Mówiono, że to nieprawda. Trzymała w ręku pomięty papier. trzeszczący pod naporem zaciskającej się dłoni — namiastkę szczęścia odmienności,

– Już jest pani zdrowa! – oznajmił jej lekarz, po czym dodał, że musi brać leki: Zolafren-swift i Tisercin, to na początek, bo później się zobaczy czy pomagają, czy nie otepiają za bardzo. Będziemy w kontakcie, Póki co, należy je stosować regularnie. Unikać stresu, nie pić alkoholu...

– Nie żyć! – pomyślała w duchu i podała lekarzowi rękę.

Opuściła szpital sama. Nie czekała na męża. Padał deszcz ale nie tak zwyczajnie, lecz jakby z dołu ziemi do góry. Miała mokre włosy i ubrania. Płakała z deszczem, bo co jej zostało.

– Psychoza! – powtarzała namiętnie i natrętnie. Świat poruszał się za zasłoną kropli. Ona, smutna czekała na autobus. Dzwonił telefon. To mąż. Dopytywał

się gdzie jest, dlaczego nie czekała. On jeździ i szuka jej po całym mieście, On nie ma czasu na takie rzeczy. Rodzinę trzeba utrzymać. Zarobić!

Ona rozłączyła się. Wyłączyła telefon i schowała go do kieszeni. Siedziała przygnębiona na ławeczce słuchała brzęczących kropli deszczu, które z jakąś bliżej nieopisaną euforią odbijały się o pleksę zadaszenia PKS w Lęborku. Czuła, że królestwo jej nie jest z tego świata, że się wszystko odwróciło do góry nogami. Porozrzucało niczym puzzle, których nie jest w stanie poukładać.

Przemoczona weszła do domu. On czekał. Nie był zadowolony. Spojrzał na nią z wielkim wyrzutem sumienia Nic nie powiedział. Ona weszła do sypialni. Podniosła z podłogi pluszowego misia, przycisnęła go do piersi tak mocno, jakby znalazła na podłodze jakiś skarb. Usiadła w kącie, między skrzynią na bieliznę a szafą. Chciała tam już zostać. Podkuliła nogi i zwiesiła głowę. Ze ściany smutno spoglądała Matka Boska Ostrobramska. Ona nie wierzyła już w nic. Było jej wszystko jedno; życie śmierć ścierały się w jej głowie. Zabrakło łez. Obojętność i wegetacja – jedynymi przystaniami.

– Jak żyć? – pytała siebie.

Krystyna Lewna

Trzecią miłość zaplata się jeszcze mocniej

Promienie słońca nigdy nie musnęły doskonalszej skóry, powiew wiatru nie mógł wcześniej wprawić w ruch bardziej miękkich loków. Żywioty powinny być posłuszne tej istocie, pomyślała Amelia, tak ujmującej bo nieświadomej swej nieskazitelnosci.

Oczy – jasne niczym księżycowa poświata na lustrzanej tafli jeziora – zwróciły się w jej stronę. Mijał kolejne stoliki, próbując do niej dotrzeć. Poczula zapach papierosów, lekki dym unoszący się na powietrzu. Woń ta zmieszała się z zapachem wody i perfum, mieszanki nierozłącznie kojarzącej się jej z tym miastem.

Amsterdam pachniał właśnie tak – perfumami ludzi, którzy przybyli tu z odległych zakątków świata. Podobało jej się, że wśród starych kamienic tłoczyła się taka masa, fala, która nieraz pochłaniała ją, gdy kroczyła uliczkami. Każdy w tym tłumie wydawał jej się indywidualnością, odznaczał się nietypową urodą czy wymawiał słowa z obcym akcentem, melodyjnym i kojącym lub przeciwnie – ostrym i gardłowym.

Wokół niej znajdowało się tyle ciekawych osób. Nikt w tym momencie jednak nie mógłby być ciekawszy od tego chłopaka, wysokiego kelnera, który w końcu dotarł do jej stolika.

– Bez ciebie dzisiejsze wzruszenia byłyby tylko martwym naskórkiem dawnych uniesień – wyrecytował płynnie po angielsku.

– House of Poems – Amelia spojrzała na szyld kawiarni. – A więc stąd nazwa tego miejsca. Witacie tak wszystkich gości?

– Oczywiście. Nie znam osoby, która nie lubiłaby poezji. Poezja zachowuje od zniszczenia tchnienie boskości w człowieku.

– Percy Bysshe Shelley.

– Świetny poeta, a jego słowa opisują idealnie to, czym chcemy uraczyć gości House of Poems. Oczywiście oprócz wspaniałej kawy, która nota bene jest dzisiaj w promocji.

– W takim razie poproszę – uśmiechnęła się Amelia.

Kelner odwzajemnił uśmiech, znów przywołując w duszy dziewczyny wszystkie te odczucia, które kazały jej usiąść w tym miejscu. Ciepły sweter w zimę, zapach świeżo skoszonej trawy, smak czekolady rozpuszczającej się powoli na języku – chyba nic nie mogło równać się z tym lekkim uśmiechem, unoszącym kąciki ust chłopca.

Nagle, ruchem tak niespodziewanym, że dziewczyna krzyknęła cicho, zbliżył jej twarz do swojej i konspiracyjnym szeptem zapytał jej, czy powitalny wierszyk jej się spodobał.

– Bez ciebie dzisiejsze wzruszenia byłyby tylko martwym naskórkiem dawnych uniesień – powtórzyła powoli. – Oczywiście, że mi się spodobał. To z „Amelii”, tego francuskiego filmu, prawda?

Chłopak przytaknął gorliwie, widocznie zadowolony.

– Cytatem z „Amelii” powitałem Amelię.

– Skąd znasz moje imię?

Wskazał na jej klucze, które leżały na stoliku. Wisiał przy nich breloczek z jej imieniem.

– Och. Racja. Mam go jeszcze z Warszawy...

– Z Warszawy? Też jesteś Polką?

– Och, ty również? – przeszła na ojczysty język. – To cudownie!

Amelię zdziwiło, że zatrudnili polskiego kelnera. Chłopak musiał mieszkać w Holandii od wielu lat. Właściwie jak on się nazywał?

– Skoro ty znasz już moje imię, to może i ja mogłabym poznać twoje?

– Tutaj jestem Albertem.

– Tutaj? – zdziwiła się Amelia. – Czyli nazywasz się inaczej?

Chłopak uśmiechnął się lekko i znów przysunął twarz do dziewczyny.

– Mogę ci to wszystko wyjaśnić. Ale nie teraz. Szef nie wygląda na zbyt zadowolonego. Czuję, że jeśli twój urok zatrzyma mnie tu jeszcze przez choćby sekundę, stracę tę posiadłość. Kończę o dwudziestej trzeciej. Spotkajmy się na Museumplein o dwudziestej trzeciej trzydzięści. Będziesz czekać, Amelio?

Błękitne oczy chłopca wydały się błagać i dziewczyna zrozumiała, że może i ona posiada w sobie tę boską część nieskazitelności, którą dostrzegła w Albercie.

– Będę – odparła.

Nocą w Amsterdamie tłoczyło się równie dużo ludzi co w dzień, mijali się na Paulus Potterstraat, Van Baerlestraat i każdej innej ulicy tego wielkiego miasta. Tysiące ludzi, setki kultur żyjących ze sobą w harmonii, stykających się ze sobą i sprawiających, że to holenderskie miasto miało niepowtarzalny klimat.

Musemplein było placem, który znajdował się między trzema największymi muzeami w Amsterdamie – Rijkswijk, muzeum Vincenta van Gogha oraz Stedelijk. W dzień kręciło się tu sporo ludzi, a wokół rozchodziła się woń pieczonych kielbasek i innych przysmaków, które serwowano turystom. Oprócz tego, stoiska z różnościami przyciągały rzeszę osób, podziwiających zestawy porcelany z dziewiętnastego wieku, pocztówki sprzed II wojny światowej lub winylowe płyty zawierającymi melodie tak bliskie sercom paru pokoleń wstecz.

Teraz, w pół do dwunastej, Amelia starała się nie zwracać na siebie uwagi mijających ją przechodniów. Stała niemal na samym środku placu, zastanawiając się, czy spotkanie z Albertem nie było zbyt naiwnym pomysłem. Nieznajomy chłopak fascynował ją, ale obawiała się, że jego dobrotliwa twarz może okazać się maską. Mimo to coś, czego nie potrafiła zindyfikować przyciągało ją do niego. Był pokusą.

– Czekaaś.

Odwróciła się i spojrzała prosto w rozpromienioną twarz Alberta.

– “Bo cóż ja mam czynić, niebożę, jeśli nie czekać do końca”?

– ...”Wszakże ty jesteś zachodem i wschodem mojego słońca” – dokończył cicho. – Jan Kasproicz, racja?

– Tak – spojrzała na torbę, którą miał ze sobą. – Co tam masz?

Chłopak skinął na nią ręką i wskazał na budynek górujący na Museumplein. Szklany gmach muzeum Vincenta van Gogha wydawał się imponujący w bladym świetle księżycy.

– Byłaś tam? – zerknął na nią, a gdy zaprzeczyła, ciągnął – plan jest taki, wejdziemy tam i zobaczysz, co trzymam w torbie. Wtedy obejrzymy znajdujące się w muzeum prace, a przy okazji może uda ci się wyciągnąć ze mnie, dlaczego tylko w Amsterdamie jestem Albertem.

Ruszył w kierunku przybytku, zanim zdążyła się odezwać. Starając się dotrzymać mu kroku, sapnęła:

– Czy muzeum nie jest zamknięte o tej porze?

Jasne brwi chłopaka uniosły się ze zdziwieniem.

– Oczywiście, że jest. Przecież to niemal północ. Ale nie martw się, moja poetko. Jestem pewien, że dla nas zrobią wyjątek.

Pierwszym pomieszczeniem, do jakiego chcieli wejść, był ogromny, szklany hol. W środku stało paru mężczyzn. Jeden z nich, barczasty jegomość w ciemnym stroju, łypnął na nich nieprzyjaźnie, gdy stanęli przed drzwiami.

Albert, całkowicie niewzruszony, pomachał do niego i wskazał głową na drugiego ochroniarza.

Po chwili drzwi się otworzyły, a mężczyzna wskazany przez Alberta przywitał się z nimi po angielsku.

– Moglibyśmy się trochę przespacerować, Daan? Chyba nie masz nic przeciwko, prawda? To będzie przyjacielska przysługa, dobrze? – wyszczerzył zęby Albert, delikatnie obejmując Amelię i prowadząc ją na wyższe piętro.

Tamten odburknął coś po niderlandzku i odwrócił się, dając im wolną rękę. Albert skierował ich w stronę pierwszej sali i rozpiął swoją torbę, wyjmując dwie ciemne bluzy z białym napisem “Vermoorde dichters” na plecach. Podał jej jedną z uśmiechem.

– Co oznaczają te słowa? – zapytała, zakładając bluzę.

– Zamordowani poeci. Chyba tak na początku miało nazywać się miejsce, w którym pracuję. Wziąłem je z szafy na zapleczu. Dobrze, że zrezygnowali z tego pomysłu, bo takie określenie mogą mieć tylko ludzie, którzy nielegalnie chodzą nocą po muzeach, a nie ci, którzy sprzedają kawę po pięć euro.

Pierwsze piętro obejmowało zbiory van Gogha z wczesnego okresu jego twórczości. Amelia z uwielbieniem w oczach spoglądała na kolejne dzieła artysty, przesuwając wzrokiem z ciemnych obrazów z pobytu w Neunen, aż na stworzone w Paryżu obrazy martwej natury.

Albert podszedł do “Jedzących kartofle” i zmarszczył brwi, przyglądając się ciemnym barwom malunku. Amelia zbliżyła się do niego, by lepiej widzieć dzieło. Mrok panujący w muzeum sprawiał, że po jej plecach przechodziły dreszcze. Musiała wyteńczyć wzrok, by zobaczyć detale na malowidle.

– Przyjrzyj się tym postaciom. Widzisz sposób, w jaki van Gogh je namalował? Niezwykłe, prawda? Ich zgrubiałe dłonie... Vincent powiedział, że chciał “ażeby obraz ten był apoteozą pracy rąk ludzkich i codziennej stawy tak uczciwie przez nich zdobytej”.

– Znasz dużo cytatów. Nawet jak na pracownika House of Poems.
– Oddałbym wszystkie wiersze, jakie znam, aby choć trochę poznać ciebie – zerknął na nią z uśmiechem. – Jesteś z Warszawy, tak?
– Owszem. Z Żoliborza. Ale mieszkam od pół roku w Amsterdamie. Pokochałam to miasto całym sercem, chociaż chwilami czuję się tu samotna. Wszystkich przyjaciół zostawiłam w Polsce.

Chłopak zachmurzył się i skinął głową. Wyciągnął palec i wolno przesunął po jednym z pierwszych autoportretów malarza.

– “Samotność jest jak ogród, w którym dusza usycha, a kwiaty przestają pachnieć.” Marc Levy – westchnął. – To niestety dotyczy tak wielu ludzi... Ale dzięki samotności można skupić się na innych rzeczach. Na przykład na artyźmie. Powiedz mi, Amelio, zajmujesz się sztuką?

– Nie... W moim warszawskim liceum byłam jedynie w kółku teatralnym.

– Liceum, tak? Ile właściwie masz lat?

– Dziewiętnaście.

Podszedł do kolejnego obrazu, przedstawiającego mizerną chłopkę.

– A więc jesteś młodsza ode mnie.

– Na pewno nie dużo. – Światło księżycy przedostało się przez szklane ściany i nadało jasnym lokom Alberta srebnego wyrazu. Jego owalna, jakby wyciosana z marmuru twarz, przypominała jej twarze greckich posągów, symetryczne i piękne. – Możesz mieć najwyżej dwadzieścia parę lat.

Chłopak nie odpowiedział, kontemplując powieszzone przed nim dzieło.

Przeszli przez oszklone drzwi i znaleźli się w korytarzu prowadzącym na kolejne piętro. Albert chwycił ją za ramię i ściskając lekko, wskazał na jeden z obrazów wiszących w przejściu. Był to obraz, który już wcześniej znała – zupełnie inny od reszty dzieł van Gogha, niepokojący, jakby wydzielał się z niego zgniły odór śmierci.

– “Czaszka z palącym się papierosem” – w oczach chłopaka pojawiły się iskierki fascynacji, gdy przypatrywał się namalowanemu szkieletowi. – To niezwykle, że van Gogh potrafił oddać swój strach przed śmiercią w tak symboliczny sposób. Chciałbym jednak, aby namalował śmierć – takiego greckiego Tanatosa – naprawdę, w czystej postaci, zamiast posługiwać się tym biednym trupem.

– Tanatos tak rzadko pojawiał się w greckiej sztuce, nie wiadomo nawet

do końca jak go sobie wyobrażano. Myślę, że to dlatego łatwiej było mu namalować szkielet.

– Tanatos... Taki niedoceniony... – mruknął Albert, wbijając wzrok w obraz. Po sekundzie milczenia znów zaczął rozprawiać o metodach malarskich wykorzystanych w tym dziele.

– Mówisz tak, jakbyś sam zajmował się sztuką – przerwała mu Amelia. – Ja grałam w teatrze. Czym ty się zajmowałeś, Albercie, który tak naprawdę nie jest Albertem? Czy ty też jesteś artystą?

– W pewnym sensie – zarzucił sobie kaptur na głowę i chwytając ją za dłoń, ruszył schodami w górę. – Nie potrafię tworzyć, czego bardzo żałuję, ale za to posiadam umiejętność rozpoznawania piękna. Widzę piękno w rzeczach, które inni ludzie mijają, gardzą nimi lub brzydzą się ich. Potrafię zobaczyć piękno w ogłuszającym wrzasku kogoś, kto właśnie stracił bliskiego. Ktoś taki budzi nasze współczucie, jego ból wydziera się pazurami z otchłani splamionej duszy, jest tak widoczny, że rozdziera serca widzów tego osobliwego spektaklu, a mimo to uważam, że to najpiękniejsza rzecz na świecie. Pokazuje przecież nieskończony ogrom miłości, jaką ten człowiek czuje – jego cierpienie przekształca się w pewnego rodzaju sztukę.

Drugie piętro było przeznaczone ekspozycji dotyczącej życia prywatnego malarza. Zewsząd członkowie rodu Vincenta, z ich miedzianymi włosami i bladymi twarzami, wpatrywali się w dwoje niespodziewanych gości. Amelia krążyła między starymi portretami van Goghów i starała się pozbyć wrażenia, jakby puste oblicza obserwowały każdy jej ruch.

– Samo odchodzenie z tego świata jest pięknem. Proces umierania bowiem, często brutalnie ale jakże potrzebnie, zrywa ludziom sprzed oczu pewnego rodzaju zasłonę bezpieczeństwa. Śmierć jednych uzmysławia drugim, jak cenne jest ich własne życie.

Umilkł, wpatrując się w poorane zmarszczkami fizys ojca Vincenta.

– Może takie myślenie nie czyni mnie artystą, ale chyba wskazuje na moją artystyczną duszę.

Amelia wypuściła cicho powietrze i spróbowała skupić się na wyrazie twarzy jej towarzysza. Miękkie linie ust wykrzywił dziwny, niepasujący do chłopaka grymas, między jasnymi brwiami pojawiła się zmarszczka frustracji.

– Skąd jesteś, Albert? Co sprawiło, że potrafisz dostrzec piękno w śmierci?

Chłopak przesunął wzrokiem po niderlandzkim tekście, opisującym koligacje rodzinne Holendra i wymruczał cicho:

– Z tego samego powodu, dla którego jestem tylko w tym kraju Albertem. Z tej samej przyczyny, dlaczego stoję o północy w galerii poświęconej Vincentowi van Goghowi z jedną z najbardziej interesujących dziewczyn jakie widziałem. To trochę bolesna historia, Amelio.

– Nie wiem, czy jestem tak interesująca, jak twierdzisz – zerknęła na swoje poobcierane od pracy dłonie. – Ale wiem, że chcę poznać twoją historię.

Twarz chłopca rozpoznała się, odsunął się od pogardliwych spojrzeń sportretowanych van Goghów i wyciągnął dłoń w kierunku dziewczyny. Chwycała go, patrząc na niego wzrokiem niemal tak zachwyconym jak początkowo na obrazie Vincenta. Mimo cudacznych słów o fascynacji śmiercią, jakie usłyszała z ust Alberta, nie potrafiła uwierzyć, że chłopak naprawdę tak myśli. Zgorzknienie, które wylewało się z jego młodej twarzy absolutnie do niego nie pasowało. Z jego warg powinny kapać tylko mleko i miód, nie przepełnione bólem monologi o poetyckości umierania.

Ostatnie piętro budynku ukazywało apogeum mocy twórczych Vincenta van Gogha. Wokół nich roztaczały się ekspresjonistyczne obrazy pełne symboli, które otwierały przed nimi uczucia towarzyszące artyście przez jego ostatnie lata.

Podeszli do słynnego “Pola pszenicy z krukami”. Panoramiczne ujęcie pól z dwiema symbolizującymi rozterkę duchową malarza drogami wzbudziło w Amelii ogromny podziw. Z tego obrazu, podobnie jak z “Czaszki z palącym się papierosem”, niemal wypelzała sama istota cierpienia i chwytiała szponami wrzuszoną duszę oglądającego. Ciemne niebo, kontrastujące z złotymi żłbami pszenicy budziło niewytłumaczalny niepokój w dziewczynie.

– Kwintesencja sztuki – wymruczał Albert, obserwując Amelię. – Kilkoma pociągnięciami pędzla zostawić trwały ślad w człowieku. Kiedy po raz pierwszy spojrzałem na ten obraz, na mojej skórze pojawiły się dreszcze. Nigdy nic nie wywarło na mnie takiego wrażenia, jak to. Czysta udręka w formie zaschniętej farby.

Amelia zerknęła na datę powstania obrazu.

– To jeden z jego ostatnich obrazów, prawda?

– Niektórzy twierdzą, że całkiem ostatni – kiwnął głową Albert. – Podzielał ich zdanie. Czy podobną rzecz mógłby stworzyć ktoś, kto nie pragnąłby śmierci bardziej od czegokolwiek na świecie?

– Czy jego śmierć również uważasz za piękną?

Chłopak rzucił ostatnie, przeciągłe spojrzenie na malunek i skierował się ku następnemu dziełu. Przez jego twarz przemknął cień, jakby przypomniawszy mu się jakaś straszliwa scena. Jakby czuł przy konającym Vincencie.

– Nie tak piękną, jak jego sztuka – odparł tylko.

Amelia podeszła do kolejnego obrazu.

– To “Zachód słońca koło Montmajour”.

– Ukończony dokładnie czwartego lipca tysiąc osiemset osiemdziesiątego ósmego.

– A więc mamy dziś rocznicę – uświadomiła sobie dziewczyna.

– Nie da się zaprzeczyć. W dokładnie taką lipcową noc van Gogh ukończył to dzieło. Widzisz te wydzierające się z ram pnącza? Je właśnie widział Vincent, stał dokładnie tak jak ty, wciągając identyczne letnie powietrze. Pewnie wdychał też zapach farb, a światło padało pod podobnym kątem, gdy dopracowywał szczegóły. Otaczała go wyłącznie ta zieleń, to płótno, przed którym również i ty możesz teraz stać. Ciekawe, co czuł. Pewnie smutek. Czy ktoś taki jak on mógł czuć szczęście?

– Utożsamiasz się z nim, Albercie?

Chłopak odwrócił się do niej. Omiótł ją spojrzeniem lazurowych oczu i uśmiechnął się łagodnie.

– “Wytrzymaj ból / wyhoduj na nim kwiaty / pomogłaś mi wyhodować je na moim”. To wyda ci się głupie, Amelio, ale w tym momencie, będąc blisko ciebie, czuję, że nie cierpię. Więc nie; nie utożsamiam się z Vincentem.

Przysunął się do niej nieco i z dziwnym wyrazem twarzy wymruczał:

– Nie wiem, jak ująć to w słowa. Spotkałem cię dzisiaj, ale czuję się, jakbym znał cię od zawsze. Jakbym wyszedł z Chaosu, z całkowitego początku świata i musiał czekać tylko z dwiema miłościami – sztuką i pięknem – na tę trzecią, najważniejszą, którą powinienem zapleść najmocniej i nie pozwolić nigdy się oddalić – zawahał się. – Może nie jesteś moją pierwszą miłością, ale jesteś tą, przy której wszystkie inne miłości stały się nieistotne.

– Rupi Kaur – szepnęła zaskoczona Amelia, przybliżając się jeszcze bardziej do Alberta. – Może mi też pomoże wyrazić, co czuję. Albercie... “Dotknąłeś mnie nawet mnie nie dotykając”.

Pochylił się i musnął wargami jej usta ale dziewczyna odsunęła się odrobinę.

– Jak brzmi twoje prawdziwe imię?

– Już ci je dziś wyjawilem.

Amelia zmarszczyła brwi i badawczym wzrokiem omiotła wyczekującą twarz chłopaka. Znała jego imię? Była pewna, że podczas ich rozmowy nie wymawiał żadnego, może oprócz Vincenta. Czuła jednak, że to nie o to imię chodzi. Przyjrzała się jeszcze raz jego rysom twarzy przypominającym antyczne rzeźby i małemu pieprzykowi na prawym policzku. Był tak samo ciemny jak barwy użyte w obrazie z szkieletem. Jak jego zafascynowanie śmiercią. Jak cierpienie, które malowało się na jego obliczu, gdy mówił o samobójstwie van Gogha...

– Znam twoje imię... – zawahała się Amelia, wyplątując się z ramion chłopaka. – Ale to niemożliwe. Przecież on nie istnieje. To tylko nazwa dla ucieleśnienia fobii starożytnych ludzi.

W dłoniach chłopca znalazła się odwrócona pochodnia. Znikąd jego postać została okryta ciemnymi skrzydłami, które wyrosły z szerokich pleców. Przystojna twarz wyrażała nadzieję – na obdarzenie zaufaniem, na miłość, której nigdy nie otrzymał.

– Tanatos. Czysta postać śmierci.

– Jestem Śmiercią, ty zaś moim życiem.

Kręcone włosy Amelii znalazły się w jego ciepłych dłoniach. Złotym nożem odciął mały ich pukiel.

Wszystkie obrazy wokół nich zaczęły wypełzać z ram. Otoczyły ich, podduszały i syczały coś niezrozumiałego.

– Moja trzecia miłość – zachrypiał Tanatos z zamglonymi oczyma. – W końcu całkowicie moja...

Dziewczyna osunęła się ze strachem w ramiona chłopca, wdychając jego zapach i zauważając, że jego skóra pachnie nie tylko perfumami, ale domieszką czegoś metalicznego i słodkiego, niczym krew. Przymknęła oczy odurzona, a kolory szybowały ponad nimi, coraz głośniejsze skrzecząc tak, że w końcu zrozumiała, co chcą powiedzieć: “Sama go wybrałaś, Amelio. Jesteś jego trzecią miłością”.

Paulina Melcer

Adrenalina

Myślę, że dzień, w którym się narodziłem był dobrym dniem. Z opowiadań matki wiem, że padało i było bardzo zimno, ale co z tego? Był to dzień mojego przyjścia na świat. Urodziłem się w zaułku. Otaczały mnie ceglane ściany wysokich wieżowców, zielone kosze na śmieci i masa kartonowych pudeł. Ktoś by pomyślał, że to nie są warunki do życia, ale dla mnie to właśnie dom i miejsce, związane z osobą, którą kochałem ponad życie – moją mamą. Kiedy byłem mały uważałem, że matka była zawsze uroczą kobietą o bardzo spokojnej duszy. Jednak kiedy dorosłem zrozumiałem, że miała problemy psychiczne. Krzyczała na ludzi mijających nasz zaułek, żeby się do nas nie zbliżali, zazwyczaj każdego dnia na kilka osób, ale nie zwracałem na to szczególnej uwagi jako dziecko. Codziennie dawała mi do zrozumienia jak bardzo mnie kocha. Rano budziła mnie mocniejszym klepinięciem w policzek i krzykiem, myślałem, że właśnie tak okazuje uczucia. Byliśmy nierozłączni, każdy dzień spędzaliśmy na zabawie w poszukiwanie skarbów i długich spacerach. W czasie deszczu przenosiliśmy się do naszego drugiego domu pod mostem wschodnim. Ten dom w jesienne wieczory podobał mi się jeszcze bardziej niż główny. Mogłem wieczorem rzucić do rzeki patyki i obserwować jak odpływają w dal. Marzyłem wtedy, że kiedyś z mamą też tak odpłyniemy i zostawimy złych ludzi daleko za nami. Tylko ja i moja kochana mamusia. Życie było beztroskie, niczym nie musiałem się martwić, do czasu kiedy mnie porwano. Przynajmniej myślałem, że mnie porwano dopóki nie wylądowałem w sierocińcu. Ale jak to się stało?

Kiedy nadszedł dzień moich piątych urodzin, mama zabrała mnie na bardzo długi spacer do centrum handlowego. Wiedziałem, że przygotowała dla mnie jakąś wielką niespodziankę, w końcu byłem już dużym chłopcem, a to były jedne z ważniejszych urodzin. Wcześniejsze wychodziły różnie, o trzecich i czwartych mama zapomniiała, ale za to opowiadała mi jak to na moje drugie dostałem nowe kartonowe posłanie, które lepiej chroniło przed zimnem idącym od betonowej nawierzchni. Ale wracając do piątych urodzin. Część dnia poświęciliśmy na

dojście do największego w mieście centrum handlowego. Był to wielki budynek o czterech piętrach, ogromnym parkingu i wielu windach. Udaliśmy się na jedną z wyższych kondygnacji, przeszliśmy między sklepami aż mama przystanęła i kazała mi tutaj na siebie zaczekać. Po czym odwróciła się ode mnie i poszła dalej sama. Posłuszny jak zawsze, czekałem w wyznaczonym miejscu. Znalazłem niedaleko ławkę, na której przysiadłem i zacząłem przyglądać się ludziom, którzy mnie mijali. Dłuższą chwilę zajęło mi obserwowanie wskazówek zegara poruszających się po białej tarczy. Nie wiem ile czasu minęło, nie potrafiłem wtedy odczytywać godziny. Pełen nadziei na szybki powrót mamy z moim prezentem, nie zdawałem sobie sprawy, że zrobiło się ciemno. Tłum dookoła mnie zaczął się przerzedzać, z tysięcy ludzi zrobiła się zaledwie garstka. Po kolejnych minutach nie było widać nikogo, światła w wielu sklepach zgasły, a metalowe kraty zsunęły się w dół. Ciągle czekałem na powrót mamy. W pewnym momencie na pustych korytarzach usłyszałem czyjeś ciężkie kroki. Podszedł do mnie wysoki mężczyzna. Był gruby i pachniał pączkami. Wiedziałem, że to pączki, bo nieraz czułem ten zapach pod cukiernią. Był ubrany w granatowy mundur. Kiedy mnie dostrzegł przykucnął i zapytał:

– Zgubiłeś się mały?

– Czekam na moją mamusię. Obiecała, że niedługo wróci. Mam dzisiaj urodzinki.

– A kiedy twoja mama cię tutaj zostawiła?

– Nie wiem. Ale kiedy przyszliśmy było jasno, a dużo osób siedziało w tych miejscach z jedzeniem, więc może w okolicach obiadu.

– I od tej pory cały czas tutaj siedzisz? – zapytał zdumiony i zaczął mi się dokładniej przyglądać. Pewnie zauważył dziury w mojej koszulce i na spodenkach. A może to przez siniaki na policzku i brodzie. Mama wczoraj bardzo się zdenerwowała, bo nie chciałem spać i przyłożyła na siłę moją głowę do ziemi.

– Pójdiesz ze mną w pewne miejsce? Jeśli twoja mamusia po ciebie wróci, to powinna cię tam szukać.

– Dobrze – chwyciłem grubasa za rękę i udaliśmy się razem do windy.

Potem była masa pytań, niebieskich świateł radiowozów. Właśnie tego dnia, w dzień piątych urodzin, pierwszy raz jechałem policyjnym samochodem i nawet byłem na komisariacie. Policjanci pytali mnie o wygląd mojej mamy, ale nie potrafiłem dać im tych informacji jakich pragnęli. Po paru dniach mieszkania u grubasa, przetransportowali mnie do nowego domu. Wiedziałem, że będę tam

mieszkał, bo tak mi powiedzieli. Był to dwupiętrowy, stary budynek, z dużym podwórkiem i masą innych dzieci. W różnym wieku, chłopcy i dziewczynki, ubrani byli w podobne szaroniebieskie mundurki. Od tamtego momentu wychowywałem się w Sierocińcu nr 8. Nikt mnie nigdy nie adoptował. Według wychowawczyni nie przejawiałem cech asymilacji z innymi i brak we mnie było głębszego uczucia miłości i przywiązania.

* * *

Minęło dziesięć lat, a we mnie zdażyła już przygasnąć miłość do mamy, nigdy jednak o niej nie zapominałem. Zawsze przed snem przypominam sobie jak wyglądała. Kiedy zacząłem się uczyć w podstawówce, zdobywałem nowych kolegów. Byłem dosyć lubiany, często spędzaliśmy popołudnia bijąc się za budynkiem szkoły lub bawiąc się w moczenie głowy w wodzie z toalet. Tak mijaly mi kolejne lata, a wieku piętnastu lat, kiedy trafiłem do nowej szkoły, ponieważ z ostatniej mnie usunięto za pobicie kolegi. Poznałem ją. Była prawdziwym aniołem - długie blond włosy, głębokie zielone oczy i ten uśmiech. Mimo okularów na drobnym nosku, jej piękne oczy od razu powaliły mnie na kolana. Na imię miała Natalia. Bardzo szybko się do niej zbliżyłem, spędzaliśmy razem każdy dzień. Została moją najbliższą przyjaciółką, ale nigdy jej nie powiedziałem, jak bardzo ją kocham.

Natalia bardzo często zmieniała chłopaków. Byli różni, ale mieli jedną wspólną cechę –zawsze po maksymalnie cztery miesiącach byli jej byłymi sympatiami. A ja zawsze stałem obok niej, pocieszałem ją po kolejnych zerwaniach, ocierałem łzy i tuliłem. Pomagałem rozkochać się w niej jej kolejnym obiektom westchnień. Nie chciałem tego robić, ale czego nie robi się z miłości. Jej mama bardzo mnie lubiła, często prosiła mnie, abym był przyzwoitką na jej randkach. Natalia nie miała nic przeciw, mieliśmy między sobą układ. Ja uspokajałem mamę Nati, ona robiła co jej się podobało, a ja miałem z tego nasze wspólne weekendowe wypadki w różne miejsca. Może gdybym podczas jednego z nich powiedział jej, co do niej czuję, wszystko ułożyło by się inaczej? Przez pięć lat naszej przyjaźni ona miała wielu partnerów, a ja byłem sam. Często się ze mnie podśmiewała, że jestem takim jej przyjacielem gejem, bo w końcu dlaczego taki przystojny chłopak jak ja nie może znaleźć dziewczyny? Czy byłem przystojny? Nie mam pewności, bardzo często słyszałem, że tak. W wieku osiemnastu lat mierzyłem 193 cm, byłem dobrze zbudowany, miałem szerokie ramiona i przewagę tkanki

mięśniowej. Moje ciemne włosy idealnie komponowały się z brązowymi oczami i śniadą cerą. Mocna szczeka i zawsze kilkudniowy zarost podobno dodawał mi uroku. Kilka dziewczyn chciało bym poświęcił im więcej uwagi. Jeśli jakaś spodobała mi się chociaż trochę, poszedłem z nią na trzy randki i zazwyczaj na tym się kończyło. Ponieważ zawsze myślałem wtedy o Natalii i o tym, że nie jestem jej wierny. Ale wracając do tematu. Kiedy mieliśmy po dwadzieścia lat, Natalia poznała Huberta. Spoko facet, ogarnięty, z pracą i aspiracjami na przyszłość. Sami dość szybko staliśmy się najlepszymi przyjaciółmi. Często podpytywał mnie o Natalię, o to, co lubi. Głupi, mówiłem mu wszystko co chciał wiedzieć. Zanim się obejrzałem byli razem –mój najlepszy przyjaciel i dziewczyna, którą kochałem od lat. Myślałem, że to kolejny z tych związków na pół roku maks. Ale się myliłem, minął rok, drugi i trzeci. Hubert oświadczył się Natalii i ona oczywiście się zgodziła. Potem odbyło się huczne wesele, na którym byłem świadkiem Huberta. Musiałem obserwować minuta po minucie, jak tracę najważniejszą kobietę w moim życiu. Kiedy składali sobie przysięgę i całowali się coś we mnie pękło, straciłem ją i nic już nie mogłem zrobić, by odzyskać Nati. Spokojnie obserwowałem wszystko z boku i nie dawałem poznać po sobie jak pęka mi serce i umierają we mnie najlepsze cechy, które odkryła we mnie Natalia.

W następnych tygodniach pomogłem Hubertowi opuścić nasze wspólne mieszkanie na piątym piętrze. Natalia z Hubertem zamieszkali razem. Już planowali rodzinę, a ja zostałem sam. Czasem zapraszają mnie do siebie i nie powiem, lubię te odwiedziny. Widzę jak moja ukochana promienieje. Jej szczęście napełnia moje serce ciepłem, ale to nadal nie jest to czego bym pragnął. Powinna być taka szczęśliwa przy mnie. Podczas mojej ostatniej wizyty dowiedziałem się, że Nati jest w ciąży. Opuściłem mieszkanie moich przyjaciół i od tamtego czasu nie mamy kontaktu.

* * *

Teraz mam dwadzieścia pięć lat, mieszkam sam w kawalerce na ostatnim – piątym piętrze starego budynku w centrum Nowego Yorku. Moje dni wyglądają dość monotennie, wstaję rano ubieram się, wychodzę do pracy, wracam i idę spać. No może nie do końca. Codziennie rano zaraz po ubraniu się, wychodzę przez okno mojego mieszkania i wspinam się na dach. Kiedy już tam jestem, zaczynam biec ku krawędzi położonej najdalej. Biegnę ile sił w nogach. Widzę zbliżającą się krawędź dachu i przyśpieszam jeszcze bardziej. Dzieli mnie od niej już tylko dziesięć metrów... siedem... pięć... dwa... stawiam stopę na krawędzi,

nie zwalniam ani na chwilę, odbijam się od dachu i lecę. Czuję otaczającą mnie nieważkość. Znajduję się jedenaście metrów ponad asfaltem zaułka pode mną. Między budynkami jest około sześciu metrów odległości. Czas na chwilę zwalnia, a ja mam wrażenie, że nawet się zatrzymuje. Czuję, że żyję, puls mi przyśpiesza, w moich żyłach buzuje adrenalina. Pokochałem to uczucie jakiegoś dwa miesiące temu, kiedy to po wieści o ciąży Natalii chciałem skoczyć z mostu i się zabić. Jakimś cudem przeżyłem. Ale zapamiętałem uczucie towa rzyszące tamtemu momentowi, tę pustkę w głowie i możliwość skupienia się tylko na własnej lekkości, niczym nie ograniczonych zmysłach, które odbierają znacznie więcej bodźców niż kiedykolwiek wcześniej. Moja trzecia miłość życia – adrenalina. Łąduję na dachu sąsiedniego budynku. Z każdym kolejnym skokiem moje lądowanie jest coraz lepsze, już nie upadam, ale utrzymuję się na nogach. Podnoszę się z przysiadu i nawet nie odwracam się za siebie, wiem co tam zobaczę, ceglana ścianę budynku, w którym mieszkam. Widzę to każdego dnia, kiedy udaję mi się wykonać skok. Może mnie to kiedyś zabić, ale się tym nie przejmuję. Idę w kierunku schodów przeciwpożarowych, które pokonuję kolejnymi skokami przez barierki i w taki sposób w parę sekund jestem już na dole.

Idąc chodnikiem do pracy rozglądam się za potencjalnymi możliwościami rozwijania mojej nowej pasji. Analizuję układ budynków i twarze przechodniów. Dostrzegam tory ponad moim lewym ramieniem. Kolejne wagony pojawiają się na nich w równych odstępach dwóch minut. Zaczynam odliczać czas między każdym odjazdem i przyjazdem. Zbliżam się do szyn. Staję na stacji położonej najdalej, w miejscu gdzie motorniczy dopiero rozpoczyna zwalnianie potężnej maszyny. Dostrzegam zbliżający się tramwaj. Odkładam torbę przy stopach, a sam nie-dostrzegalnie ustawiam się do skoku. Jeszcze kilka sekund i minie mnie tramwaj, odliczam do trzech i kątem oka dostrzegam, że maszyna jest trzy metry ode mnie. Odbijam się i lecę. Po raz kolejny to uczucie lekkości ogarnia mnie całego, czas zwalania, ludzie krzyczą, a ja zaczynam żyć. Łąduję po drugiej stronie, zbyt szybko by odczuć wewnętrzne spełnienie. Jednak to starczy, aby przeżyć dzień w pracy. Odwracam się i dostrzegam twarze ludzi stojących na przystanku. W ich oczach widać strach, jakaś kobieta zemdląła. A ja schylam się, podnoszę monetę, którą właśnie zauważyłem na chodniku i jak gdyby nigdy nic przeskakuję z powrotem po moją torbę. Uśmiecham się do starszego pana i wsiadam do tramwaju, pod którego kołami chwilę wcześniej omal nie zginałem. Będąc w tramwaju dostaję SMS'a:

„Dzisiaj. Tam gdzie ostatnio o dwudziestej. Jest nowy zakład. Duża pula.”

Poprawia mi to humor na resztę dnia w pracy. Jest możliwość zarobienia i dodatkowego napływu adrenaliny. Od kiedy zacząłem interesować się ryzykiem poznałem nowych ludzi. Większość ich unika, ponieważ są to ludzie pokroju tych, zajmujących się czarnymi interesami i zakładami o duże pieniądze. To właśnie oni wyłowili mnie z rzeki, kiedy to skoczyłem z mostu. Oni się mną zajęli i pokazali nowy kierunek w życiu.

Jestem na miejscu pięć minut przed czasem, ubrany na czarno jak zawsze. Skrywam się w cieniu i obserwuję kto wchodzi do środka. Nikt z osób, które przyszły dzisiaj obstawiać nie pojawi się wcześniej, niż na ustaloną godzinę. Sam mogę się spóźnić. W końcu to ja tutaj robię show. Kolejni biznesmeni wchodzi do bogatego lokalu znajdującego się na końcu ulicy. Ci, którzy podjechali czarnymi SUV'ami, to moje cele. Oni dzisiaj zapłacą za moją rozrywkę. Wchodzę do środka zaraz za nimi, nie spuszczam z nich oczu. Wiem, że jest to niebezpieczne, kiedy stawka idzie o duże pieniądze. Odnajduję człowieka, który odpowiada za to całe zbiorowisko. Jeff zamyka moją dłoń w znanym mi mocnym uścisku, zbliża usta do mojego ucha i wyszeptuje tylko: „50”. Wiem co to znaczy. Dzisiejsze zakłady oznaczają dla mnie 50 000 \$ zysku jeśli przeżyję. Oznacza to bardzo niebezpieczny numer. Jeff zostawił w mojej dłoni kartkę. Odchodzę na bok, by niepostrzeżenie zobaczyć co jest napisane: „*Rosyjska ruletka – pistolet po prawej*”

Nagle opuszczają mnie chęci do wzięcia udziału w tym zakładzie. Nie rozumiem dlaczego mi podpowiada, to psuje całą zabawę. Jeśli nie wiedziałbym, który pistolet jest bezpieczny, to czułbym się bardziej spełniony, a w takiej sytuacji muszę znów kombinować jak zapełnić wieczorną pustkę w moim sercu. Zbliżyłem się do ludzi otaczających stół. Przyglądam się ich twarzom i dostrzegam człowieka, który będzie moim przeciwnikiem. Jest to niski mężczyzna o dosyć masywnej posturze, nie jest gruby, tylko szeroki. Jego ramię jest grubości mojego uda, w oczach widać czającą się rządzę krwi. Może jednak to starcie będzie ciekawsze niż myślałem. Siadamy po przeciwnych stronach okrągłego stołu, ludzie dookoła nas zajmują miejsca pod ścianami. Do pomieszczenia wchodzi wysoka brunetka, w skąpej sukience. Stawia na stole tacę przykrytą serwetką, pochyla się nad blatem, by podkreślić swoje krągłości i ostentacyjnym gestem odsłania przed publiką dwa srebrne rewolwery alfa 361 kaliber 22. Mężczyźni w garniturach zaczynają kolejno odliczać banknoty z grubych plików. Każdy

wrzuca odliczoną kwotę wstępną na tacę kolejnej skąpo ubranej dziewczyny. Delikatny uśmiech pojawia się na mojej twarzy. Ostatni raz spoglądam na Jeffa, który kiwa mi głową. Sięgam po rewolwer. Na przekór informacji zawartej na kartce chwytam rewolwer po lewej. Jeśli mam kiedyś umrzeć, to czemu nie tu i teraz? Robiąc to, co kocham ponad życie i czując jak adrenalina wypełnia mnie całego od stóp po sam czubek głowy. Rewolwer jest ciężki, nawet bardzo. Nigdy wcześniej nie trzymałem broni. Przez chwilę wywarzam go w dłoni, po czym odkładam na blat przed sobą i patrzę prosto w groźne oczy mojego przeciwnika.

– Panie i panowie, pora rozpocząć nasze małe show – słychać donośny głos Jeffa. – Po mojej lewej zasiada Mr. White – wskazuje na mojego przeciwnika – zaś naprzeciwko niego ulokował się Mr. Black – teraz rozumiem, to tylko przydomki dla publiki. Nikt nie powinien wiedzieć jak naprawdę się nazywam. To środki ostrożności w razie zemsty. – Dzisiejszą rywalizacją, jak zdążyliście się już panowie zorientować, jest rosyjska ruletka, sport bardzo lubiany przez tak wyrafinowane towarzystwo jak państwo. Każdy uiszczył już opłatę wpisową, więc możemy przejść do najważniejszej części dzisiejszego wieczoru. Aby nikt nie myślał, że gra jest ustawiona na początku rzucimy monetą, a każdy z zawodników przekreśli trzy razy bęben. Panie White co pan wybiera?

– Reszka – i moneta leci w górę, każdy na sali podąża za nią wzrokiem.

Srebrny krążek upada na środek stołu. Spoglądam na bilon. Przegrał. Ja zaczynam, a może to ja przegrałem? Znów podnoszę rewolwer, okręcam jego bęben tak jak nakazał Jeff trzy razy i przykładam sobie jego lufę do skroni. Moje tętno przyśpiesza, czuję przyjemne mrowienie w palcach i stopach. Mogę zginąć, wystarczy pociągnąć za spust w momencie, kiedy kula będzie w komorze. Życie jest takie kruche. Tak bardzo nie zdajemy sobie z tego sprawy. Nie ma we mnie strachu, za to wypełnia mnie odwaga, jak zawsze kiedy podejmuję się czegoś niebezpiecznego. I znów przypominam sobie za co pokochałem to uczucie, za możliwość sprawdzenia siebie, swoich granic i ograniczeń. I już wiem, że to zrobię, strzelę sobie w głowę.

Pociągam za spust, nie słyszę wystrzału tylko ciche kliknięcie. Schodzi ze mnie napięcie. Rozglądam się, wszyscy w ciszy obserwują wydarzenia. Jeff nie wydaje się być zadowolony z tego, że nic się nie zadziało. Kolej Mr. White. On również nie zastanawia się długo i szybko przykładą broń do skroni. Nie pierwszy raz bierze udział w takim wyzwaniu, naciska spust i również tym razem nie słychać wystrzału. Był pewny swego i udało mu się tym wywołać we mnie

kolejną falę adrenaliny. Nie mogę dać się pokonać. Wiem, że umiejętności nie mają tutaj nic do rzeczy, ale muszę to przeżyć. Podnoszę broń po raz kolejny i strzelam. Nadal żyję, jest dobrze. Mr. White również przeżywa drugi strzał. Kolejka powtarza się jeszcze dwa razy. To już mój piąty strzał. Jest źle. Ja zaczynałem. Jeśli teraz przeżyję ja i również Mr. White, gra się zakończy remisem, a to może nie zadowolić widzów. Czuję jak moje ręce stają się ciężkie niczym ołów. Przy ostatnim strzale przymykam oczy i zaciskam pięść lewej ręki, strzelam...

Zapada cisza, nikt się nie odzywa. Wszyscy wiedzą, że ten strzał był dla mnie decydujący. Otwieram oczy, żyję... Nadal oddycham, a moja głowa jest cała. Adrenalina wypełnia mi żyły. Nie wiem jak to się stało, ale przeżyłem to starcie i nikt teraz nie może mi zagrozić. Mr. White przyciska po raz ostatni pistolet do swojej głowy. Na jego twarzy widnieje głupi uśmiech, on wie, że przeżyje, nie musi o to prosić. Naciska spust pewnym palcem. Pada strzał, kula opuszcza bęben rewolweru. Mr. White pada na ziemię, a z jego głowy sączy się krew. Nikt się nie rusza. Przegrał. Od życia dzielił go tylko ten jeden strzał.

Wstaję od stołu i wychodzę na zaplecze. Sprzątanie zwłok nie należy do moich zadań. Czekam na Jeffa, który ma przyjść z moim wynagrodzeniem. Dostarczyłem rozrywki jemu i zebranym tu ludziom. Zarobił dzięki mnie dużo więcej niż ja otrzymam. Widziałem jak ludzie dokładali kolejne pieniądze do puli już i tak sporej przy wpisowym. Jeff wchodzi do małego pomieszczenia, widać po nim mocne zdenerwowanie. Szarpie mnie za ubranie i ciska o ścianę.

– Który rewolwer wziąłeś?! – wyrzaskuje mi w twarz. – Który, idioto?! Napisałem ci, żebyś wziął ten po prawej! Widziałem, który chwyciłeś! Wiesz co narobiłeś?!

– O co ci chodzi? Pomyliłem się i wielkie mi halo. Rewolwery były takie same. W obydwóch była kula. Zaczynaliśmy obaj na tych samych zasadach. To nie ma znaczenia, po który sięgnąłem. No chyba, że chciałeś urządzać jakiś przekręt. Dostanę mój hajs?

– Tak, rewolwery były takie same... racja. Trzymaj te pieniądze, 50 000 \$ to nic.

Wychodzę z budynku i odnajduję najbliższe schody przeciwpożarowe. Mam na dzisiaj dość adrenaliny, ale nie zaszkodzi odrobina wolności przed snem. Wspinam się na dach budynku i znów zaczynam bieć. Przeskakuję na kolejne dachy i pokonuję przeszkody. Tym sposobem docieram do mieszkania znacznie szybciej niż zwykle. Po dzisiejszych wydarzeniach czuję się wolny,

nikt nie może mi zagrozić. Miłość do adrenaliny napędza mnie każdego dnia, dzięki niej nadal chce mi się żyć.

* * *

Kolejnego dnia, wstaję o zwyczajnej godzinie, doprowadzam się do porządku i wychodzę do pracy. Tego ranka rezygnuję ze skoku na dachu. Wczorajszy wieczór przyniósł mi wrażeń na jeszcze kilka następnych godzin. Biegnę po schodach klatki schodowej przeskakując barierki by skrócić drogę. Przystaję przed wyjściem, poprawiam koszulę i mocno pcham drzwi. Wychodzę na zewnątrz. Wyczuwam czyjąś obecność za moimi plecami, nie zdążam się obrócić. Coś ciężkiego uderza mnie w tył głowy. Ogarnia mnie ciemność.

* * *

Budzi mnie hałas. Równomierne huki. Próbuję przekręcić się na bok, ale nie jestem w stanie, coś mnie unieruchomiło. Po chwili orientuję się, że jestem związany. Otwieram najpierw jedno oko, potem drugie. Jestem w helikopterze. Na siedzeniach nad moją głową siedzi Jeff i jakiś osiłek. Mierzy do mnie z karabinu.

– Czyżby nasza Śpiąca Królowna się obudziła? – pyta szydyczko Jeff. – Nic nie mów. Już ci wszystko tłumaczę. Pamiętasz ten ostatni numer z rosyjską ruletką? – kiwam głową. – Nie zastanawiałeś się dlaczego ci podpowiedziałem? W broni po prawej były dwie kule, w tej po lewej nie było żadnej. Wmówiłem wszystkim panom, że masz takie cholerne szczęście, że przeżyjesz wszystko, nawet strzał z broni. Wszyscy obstawili twoją wygraną. Miałeś zginąć. Ja miałem wygrać grube miliony. Gra poszła o dwadzieścia pięć kawałków. Przegrałem wszystko i jeszcze musiałem tobie zapłacić. Nie odzyskam już tych pieniędzy, ale zemsta jest słodka. Zabawimy się po raz ostatni. Twój popisowy numer to własna śmierć. Umowa jest taka, zrobisz to, co ci rozkażę. Przeżyjesz, jesteś wolny. Umrzesz, moja rozrywka i wyrównanie rachunków.

Jeff wstał i mnie okrążył. Przykucnął przede mną i splunął mi w twarz.

– A teraz słuchaj. Lecimy nad platformę wiertniczą. Zatrzymamy się nad jej wieżą. Twoje zadanie: wyskoczysz z helikoptera na wysokości dwudziestu metrów. Jeśli wpadniesz do wody, teoretycznie przeżyjesz. Upadniesz na platformę – będzie z ciebie zimny trup. Żeby udowodnić, że udało ci się przeżyć próbę będziesz musiał wspiąć się na wieżę wiertniczą i stanąć na jej szczycie. Wtedy będziesz wolny. A teraz cię rozwiążemy, masz pięć minut na przygotowanie.

Podwładny Jeffa rozcina liny, które krępują moje ręce. Wstaję z podłogi i prostuję obolałe kości. Obserwuję dryblasę, który mierzy do mnie z karabinu. Jest źle. Nie mam drogi ucieczki. Jedyną możliwością to wyskoczyć, ale jesteśmy tak wysoko, że nie mam wątpliwości, że skończyło by się to dla mnie śmiercią. Zaczynam się bać. Nie jest to moje ukochane uczucie strachu, który napełnia moje żyły adrenaliną, tylko strach, który paraliżuje kończyny. Uspokajam bicie serca i zaczynam obmyślać plan. Nie mam szans, żeby to przeżyć... chociaż... dwadzieścia metrów to nie tak dużo. Skoczyłem kiedyś na bungee ze stu metrów, ciało bardzo się rozpędza, ale według instruktora nawet z tej wysokości człowiek byłby w stanie przeżyć skok do wody, tylko musi odpowiednio się ułożyć. Przypominam sobie co należało zrobić – usztywnić nogi i ręce, ułożyć wzdłuż ciała i zablokować w stawach. Nie wolno skakać na głowę, może to doprowadzić do paraliżu. Wyciszam się. Dam radę skoczyć i przeżyć. A potem wyniosę się z tego miasta.

– Koniec czasu. Pora na ciebie Mr. Black – rozsunął drzwi maszyny. – Liczę do trzech, jeśli sam nie wyskoczysz, to cię wypchniemy.

Biorę krótki rozbieg i wyskakuję z maszyny. Pozwalam sobie na tylko krótkie spojrzenie w dół. Cholernie wysoko. Serce szybciej mi bije, czuję przyjemne mrowienie w palcach. Wraca uczucie radości. Nigdy wcześniej nie doświadczyłem tego tak mocno. Tętno przyspiesza mi tak bardzo, że za chwilę mogłoby wyskoczyć. Zaczynam się śmiać. Dziwne jak na taką sytuację, ale głośny śmiech wydostaje się z mojej piersi. Usztywniam ręce i nogi. Patrzę na wodę, która jest coraz bliżej mnie. Biorę wdech. Zanurzam się w zimną otchłań.

* * *

– Jeśli uda mu się wspiąć na wieżę, zastrzel go – mówi Jeff do swojego podwładnego, patrząc w miejsce gdzie zniknęła głowa Mr. Black'a. – Poprawka, jak tylko gdzieś go zobaczysz masz go zabić. Zrozumiano? – osiłek kiwa głową przyglądając się wodzie. – Chcę zobaczyć jak jego krew zabarwia ten wychodek dla rybek.

Mijają minuty a Mr. Black'a ciągle nie widać. Jeff po raz kolejny przemierza helikopterem przestrzeń patrząc gorączkowo na zegarek. Jeszcze chwila i będzie pewien, że Black zmarł. Jeśli w przeciągu dwóch minut nie zaczerpnie powietrza jego mózg umrze. Szkoda, że nie zobaczy jak jego krew zabarwia wodę, ale sam fakt, że zginął napełnia go zadowoleniem. Po raz kolejny spogląda na wskazówki. Uśmiecha się do tarczy zegarka.

– Lecimy. Nie ma szans by jeszcze żył, a nawet jeśli, to zginie z wychłodzenia.

Helikopter oddała się w kierunku lądu. Na platformie wiertniczej nie ma śladu żywej duszy. Opustoszała już całe miesiące temu, kiedy złoże wyschło. Dookoła platformy od dawna żerują rekiny. Spowodowały to odpadki wyrzucane przez pracowników do wody. Widać jak trójkątne płetwy ludojadów przecinają morskie fale. Nikt kto znajdzie się w tych wodach nie przeżyje. A skok do wody może skończyć się wstrząsem termicznym, co dodatkowo nie ułatwia przetrwania. Mr. Black nie miał szans na przeżycie tego skoku. Zginął szczęśliwy oddając się miłości swojego życia, pasji i największemu hobby.

* * *

– KOCHAM ADRENALINĘ!!! – krzyczę z całych sił jakie mam w płucach prosto w przejrzyste niebo. – ŻYJĘ!!! – podnoszę krzyk po raz drugi.

Minęło pół roku od wydarzeń w helikopterze. W momencie kiedy uderzyłem o taflę wody zdałem sobie sprawę z tego, że Jeff nie pozwoli mi przeżyć tamtego dnia. Nabrałem dość powietrza, by przepłynąć spory kawałek pod powierzchnią wody. Skryłem się przy jednej z nóg platformy. Cudem uniknąłem śmierci w szczękach rekinów. Kiedy zaczynałem tracić przytomność, resztkami sił wychyliłem głowę po odrobinę drogiego tlenu. Dostrzegłem, jak osiłek Jeffa śledzi powierzchnię wody zza muszki karabinu. Mijające minuty ciągnęły się niemiłosiernie. Kiedy ogromna maszyna w końcu się oddaliła, poczułem w sobie siłę by dostać się na platformę. Udało mi się przetrwać na niej tydzień dzięki resztkom zapasów żywności robotników. Dostanie się na ląd było znacznie trudniejsze, ale miałem szczęście. Zabrali mnie z platformy ochroniarze zaalarmowani uruchomionymi czujnikami, które musiałem rozbić podczas przeszukiwania szafek. Zaszylem się na długie miesiące u Natalii i Huberta. Zrozumieli sytuację i przyjęli mnie do siebie. Przez te pół roku nie mogłem brać udziału w ryzykownych przygodach. Czułem, jak usycha mi serce z tęsknoty do mojej miłości. Każdego dnia myślałem o niej coraz więcej. Aż nadszedł dzisiejszy dzień.

Z pieniędzy, które dał mi Jeff podczas numeru z rewolwerem wynająłem prywatny helikopter. Wylecieliśmy nad tę samą platformę co przy ostatnim spotkaniu z Jeffem, ale tym razem nikt nie groził mi bronią. I po raz drugi wykonałem skok, ale teraz z wysokości trzydziestu pięciu metrów. Adrenalina napieniająca mi żyły przywracała mnie do życia. Dopiero teraz odkryłem, że przez te pół roku żyłem jakby w letargu, w zasadzie nie żyłem, tylko funkcjonowałem. Brakowało mi jej – mojej pasji, mojej miłości. Kiedy znalazłem

się w wodzie, podpłynąłem do platformy. Wspiąłem się na metalową konstrukcję i przeskakując przeszkody znalazłem się przy wieży. Wspinaczka była długa i niebezpieczna. Wieża nie była przystosowana do wchodzenia na nią inaczej, niż po drabinie. I tak oto znalazłem się tutaj, gdzie teraz stoję.

Zemsta Jeffa jakoś mnie nie rusza. W zasadzie to mi pomógł. Dowiedziałem się co tak naprawdę chcę robić w życiu, czemu chcę się poświęcić i co jest dla mnie najważniejsze. Gdybym musiał teraz znów przeżyć chociaż jeden dzień bez adrenaliny, nie byłbym w stanie. Wolałbym się zabić, niż zapomnieć o tej miłości, która pozwala mi żyć i prowadzi każdego dnia przez ten szary świat. Mówią, że trzecią miłość zaplata się jeszcze mocniej, coś w tym jednak jest. Przypominają mi się słowa piosenki „Trzecia miłość żagle”:

*„Rozstać się, żegnać się, ciężko jest.
Starczył mi nafty litr, pakuł pęk ...
Kiedy płomień zgasł, popiół rozwił wiatr ...
W morze znów rusza łódź –miłość ma.”*

Nucę pod nosem tę piosenkę. Czuję, że oddaje ona moje uczucia. Znów ruszam w świat z moją miłością – adrenaliną. Biorę krótki rozbieg i zeskakuję z wieży prosto do wody. Znów zaczynam się głośno śmiać i zabieram ten śmiech ze sobą w wodę.

Sara Bojanowska

Kier

Znalazłem się w przedziwnym kasynie. Było ono zatłoczone, pełne ludzi, jakby zjechali się z całego świata. Musiało być ogromne. Mimo sporej masy ludzkiej nie było duszno, a miejsca starczyłoby na spokojne zaszyście się w kącie. Zakurzone portrety jakichś osób powieszono na suficie i małe, jarzące się nikłym światłem lampki dodawały tajemniczego klimatu.

Nie grano tu w pokera czy ruletkę, widziałem jedynie ludzi siedzących przy zaokrąglonych, półprzeźroczystych stolikach ustawionych wokół zakapturzonej postaci w nieskazitelnie białej szacie. Jegomość był nadnaturalnie wysoki i wydawał się bardzo majestatyczny. Jego kreacja zakrywała go całego, oprócz dłoni, które przywdział w śnieżne rękawiczki. Trzymał w ręku kilka kart, natomiast przeciwnik do którego się zwrócił... No właśnie, gdzie podziała się jego talia?

Podszedłem do najbliższego stołu. Siedział przy nim niski Azjata o przyjaznej twarzy. Dołączył do mnie czarnoskóry mężczyzna, który też zaczął przyglądać się rozgrywce.

– Patrz uważnie – powiedział Afrykańczyk, nie spuszczać oczu ze zwinnych rąk osobliwej postaci, która właśnie wybrała kartę. Persona w bieli rzuciła ją na stół kobiety o ciemnych włosach. Na karcie widniał jedynie wielki symbol w kształcie koniczyny. Był to pik. Kobieta znieruchomiała i wytrzeszczyła swe kocie, czekoladowe oczy. Zupełnie zastygła. Przestraszyłem się. Może coś jej się stało? Chciałem jej pomóc, lecz mój kompan powstrzymał mnie potrząśnięciem głowy. Spojrzałem na niego pytająco.

– Patrz – powtórzył uparcie. Znow nie zaszczycił mnie swym kontaktem wzrokowym.

Zakapturzona postać też nie przejęła się losem kobiety. Odwróciła się, po czym cisnęła kolejną kartę, którą wyjęła z innej talii, niż poprzednio. Ta delikatnie wylądowała na stole Azjaty. Tym razem wypadł trefl. Mężczyzna zamknął oczy i popadł w bezruch. Na początku się uśmiechał, lecz po chwili zaczął się trząść.

Miałem mętlik w głowie. Wyłapałem zerknięcie czarnoskórego kompana, który widząc mój wyraz twarzy odciągnął mnie na bok.

– Co jest z tobą nie tak? – wypalił. Zatkaną mnie, więc kontynuował. – Wiesz po co tu jesteś?

Zabrakło mi słów. Pokręciłem przecząco głową. Mężczyzna westchnął z politowaniem.

– Wiesz w ogóle, gdzie jesteś?

– W kasynie? – zapytałem się głupkowato.

– Nic nie pamiętasz – bardziej stwierdził niż się zapytał. – Czasem się zdarza... Bardzo rzadko, ale jednak... To od początku...

Zamyślił się na chwilę, wobec tego rzuciłem okiem na rozgrywkę. Kilku kolejnych ludzi pogrążyło się w letargu. Ciemnowłosa kobieta już się przebudziła. Wyglądała na zdołowaną, oczy miała szkliste. Wysłałem jej pokrzepiający uśmiech, lecz ona go nie zauważyła.

– Zacznijmy od tego – odezwał się w końcu. – Czy pamiętasz swoje ziemskie życie?

– Oczywiście, że tak – odparłem bez namysłu. – Chwila... ziemskie? Czy ja umarłem?

– I tak i nie – powiedział ze spokojem – eksperyment się zakończył, lecz wciąż możesz „umrzeć”, choć teraz „żyjesz”.

– Co? Jaki eksperyment?

– Skup się. Zrozum, że twoje życie na Ziemi było tylko iluzją, zwykłym eksperymentem. Jesteśmy tu teraz, bo umarliśmy fizycznie, chociaż mamy jeszcze swoje dawne ciała, ale spokojnie, jeśli uda się nam przejść Dalej, to się ich wyzbędziemy. Wraz z ich utratą znikną wszystkie nasze doczesne słabości, co jest niezbędne do prawdziwego życia po tamtej stronie. To jest kompletnie niewyobrażalne dla ciebie, jednakże taka jest rzeczywistość. Prawdziwa rzeczywistość.

– Oczywiście niektórzy umarli już wcześniej – dodał po chwili dramatycznej pauzy. – Ludzie od zawsze próbowali przewidzieć co nadejdzie, a tu proszę. Prawie zgadli. W sumie wszyscy mieli po trochu rację. Może to nie jest dosłowny Raj, nie wszyscy przeszli reinkarnację, ale w jednym się nie myliliśmy, tu nas będą sądzić. Nie za grzechy, lecz będą oceniać wartość duszy – zamilkł i wpatrywał się we mnie, jakby sprawdzając czy go słucham.

– Gdzie ja się znalazłem? Myślałem gorączkowo, próbując znaleźć jakieś racjonalne wytłumaczenie. To jest żart, a może sen?

– Dobra, gdzie są kamery? – zażartowałem niedorzecznie.

– Czy ty sobie ze mnie kpisz? – zachnął się. Popatrzył na mnie oburzonym wzrokiem i odszedł mrużąc coś o „przywiązaniu do ulotności”. Zrobiło mi się głupio, lecz na przeprosiny było już za późno. Mój niedoszły kompan skutecznie wmieszał się w tłum.

Znowu zostałem sam. Jeszcze bardziej zagubiony niż wcześniej. Oparłem się o ścianę i zacząłem mimowiednie obserwować tłum. Dopiero teraz do mnie dotarło, że nie ma tu żadnych dzieci. Dominowali ludzie w średnim wieku i starcy. Ale dlaczego?

– Co tam, przystojniaku?

Wybudziłem się z zadumy. Stała przede mną niska kobieta o ślicznych rysach twarzy. Wyglądała na dwudziestolatkę. Przybrała władczą pozę.

– Do mnie mówisz? – zapytałem ze szczerym zdumieniem. Nigdy nie uważałem siebie za nadzwyczaj urodziwego mężczyznę. Miałem zwykłe, szarawego koloru włosy, owalną twarz i niebieskawe oczy. Moja sylwetka była przeciętna. Wzrostem też nie zachwycałem.

– No, a do kogo? – rozejrzała się teatralnie, po czym wyciągnęła rękę. – Byłam Mia, Sofia, Ania, a w ostatnim wcieleniu Lenka. Możesz mnie nazywać MSAL, choć, jak wiemy, te imiona są już nieaktualne. A ty?

– Eeee... Mati, tylko Mati – ze względu na to, że wszyscy byli tu wariatami, postanowiłem grać w ich grę. – A nie, jeszcze miałem na imię Arnold i Gustaw i wiele innych, no wiesz, nie sposób ich wszystkich spamiętać – dodałem drwiąco. Miałem już dość tego teatrzyku..

– To wszystko wyjaśnia – nieznajoma podniosła brew.

– Wszystko, czyli? – posłałem jej najbardziej niewinny uśmiech na jaki było mnie stać.

– No wszystko – wywróciła oczami. – To, że stoisz tu sam jak ciołek, nie podchodzisz do stołów, nie wiesz co ze sobą zrobić... Mam wyliczać dalej?

– Nie, nie musisz – odrzekłem apatycznie. Niech ona już sobie pójdzie...

– Jak tak dalej będziesz się zachowywał, to nie przejdiesz Dalej – powiedziała z naciskiem.

– A może nie chcę przejść do tego waszego Dalej – schowałem twarz w dłoniach. Byłem tym wszystkim wykończony.

– Zwariowałeś? Każdy chce przejść Dalej. Po to tu jesteśmy... Wy tłumaczyć ci wszystko?

Zdjąłem ręce z twarzy w sam raz, by zobaczyć jak Azjata, przy którego stole wcześniej stałem, wstaje z krzesła. Obrócił się na pięcie i poszedł w stronę dwóch kotar wiszących obok siebie. Jedna z nich była biała, druga zaś, w której się zanurzył, purpurowa.

– Szkoda – rzekła MSAL.

Spojrzałem na nią pytająco. Już nie maskowałem zainteresowania.

– Azjata umarł, bo przegrał – powiedziała to takim tonem, jakby była to oczywista prawda.

– Czyli jak przegram w karty to umierasz?

– W skrócie, tak. Jakby się temu dokładnie przyjrzeć, to nie do końca – nabrała głośno powietrza. – To nie są zwykłe karty. Mają niesamowitą moc. Otóż stanowią o naszej dalszej egzystencji. Mistrz Gry wybiera kolor, a przeciwnik musi zmierzyć się z danym wyzwaniem. Gra polega na tym, by nie poddać się przeszłości – otworzyłem usta, by się dopytać o parę rzeczy, lecz MSAL natychmiast mi przerwała – Ciii! Daj mi dokończyć Tylko Mati i Jeszcze Arnoldzie Gustawie – uśmiechnęła się szelmowsko. – Rozgrywka przebiega w dwóch identycznych rundach. Wyzwanie zależy od symbolu na karcie. Kier to miłość, karo to nowa więź. Pik to choroba, a trefl... – ściszyła głos do szeptu. – Trefl to śmierć. Wzdrygnąłem się machinalnie.

– Czyli ten Azjata umarł przez trefla? – chyba zaczynałem lepiej to wszystko rozumieć.

– Nie, tępaku! – fuknęła. – Nie dostajesz wyroku śmierci, gdy Mistrz Gry wybierze trefla. Możesz równie dobrze zginąć przez kiera. Po prostu poddał się wspomnieniu i zatriął w ziemskich sprawach. Rozumiesz?

Pokiwalem głową. Powoli mi się przejaśniało. Ulżyło mi, że widzimisię Mistrza Gry mnie nie zabije, a równocześnie posmutniałem. Szkoda mi było tamtego mężczyzny.

– Jeśli przegram to nie ma ratunku? Nie mam kolejnej szansy? – spytałem z nutką nadziei.

– Dokładnie – skwitowała, szybko niszcząc resztki mojego optymizmu. – Wpadasz w Trans, nie wiesz co robisz i sam zmierzasz ku własnej zgubie, czyli czemuś co jest za purpurowa kotarą. Ja twierdzą, że jest tam coś w stylu niszczarki do bezużytecznych ciał i dusz, ale to tylko moja teoria. Tak naprawdę nikt nie ma pojęcia, co nas czeka... – spojrzała mi prosto w oczy. – Niemniej jednak, każdy zna swoje zadanie, gdy tu się znajduje, a ty musisz być dopiero jedenastym z kolei wyjątkiem. Ciekawe co czyni cię wyjątkowym...

Zarumieniłem się. Nie było we mnie nic odbiegającego od normy. W szkole uczyłem się przeciętnie, poszedłem na studia, dostałem pracę jako rysownik komiksów i tyle. Nie zdążyłem nic więcej osiągnąć, ze względu na to, że znalazłem się tutaj. Mówienie o sobie zawsze mnie zawstydzalo, toteż zmieniłem temat:

– Mówiłaś coś o transie, co miałaś na myśli?

– Ano. Jak się teraz czujesz? – zwyczajnie, a to źle?

– Absolutnie, to wręcz bardzo dobrze w twoim przypadku. Nie jesteś jeszcze gotowy. Ja na przykład... przykłą... przykłą... aaa... – zaczęła chybotać się na boki. – Muszę iść – uśmiechnęła się słabo. – Móó... Czasssss... Nad... Nadszedł.

Ruszyła powoli w kierunku stołów. Tłum rozstąpił się przed nią. Teraz już się nie zataczała. Kroczyła dumnie, z podniesioną głową, jakby miała stoczyć ważny bój. I w istocie tak było. Nie zatrzymywałem jej. Podświadomie wiedziałem, że muszę jej pozwolić odejść.

Czyli tak wygląda Trans – połowicznie tracisz nad sobą kontrolę. Gdy postanowisz się sprzeciwić, ten zacznie odbierać ci zmysły. Zacząłem się tego bać. Ile czasu minie zanim mnie dopadnie? Zaraz przyszyła druga myśl – czy tu istnieje w ogóle czas? Spojrzałem na krążących ludzi. Ile mogli tu już czekać?

Postanowiłem, iż wezmę się w garść i tym razem sam kogoś wypytam. Starąłem się nie patrzeć w kierunku stołów, napełniały mnie one dogłębną trwogą. Czułem się jakby Mistrz Gry obserwował mnie przez ten cały czas, aby wyciągnąć informacje o moich największych lękach i wykorzystał je przeciwko mnie w ostatecznej rozgrywce. Poza tym nie chciałem prowokować przedwczesnego Transu, uznałem, że ciągłe gapienie się na zakapturzoną postać może przyspieszyć ten niepożądany proces.

Zaczynałem się wczuwać w to całe wariatkowo. Impulsywnie ruszyłem przed siebie. Skoro eksperyment się zakończył, wszyscy ludzie powinni być tutaj.

– Co się stało z dziećmi i większością nastolatków? – ponowiłem swoje wcześniejsze pytanie.

Za dużo. Za dużo niedomówionych kwestii. Panicznie usiłowałem to wszystko poukładać w mojej głowie.

– Witam, mogę zająć chwilę? – zagadnąłem staruszka w białej koszuli. Liczyłem na szybkie otrzymanie odpowiedzi, lecz i tym razem się przeliczyłem.

– Jeśli chcesz pytać o rady, to raczej nie zwracaj się do niego – odpowiedział za starca damski głos. Należał do kobiety stojącej bokiem, zapewne po to, by dobrze widzieć stoły. Nie widziałem jej twarzy, gdyż przysłaniały ją gęste, kasztanowe loki. – Nie odzywa się odkąd jego ziemską żona przegrała. Próbuję przywrócić go do żywych, na razie bezskutecznie. Za to ja chętnie tobie pomogę.

– Wspaniale – szczerze okazałem nieopisaną ulgę i od razu przeszedłem do rzeczy – po pierwsze: dlaczego nie ma tu dzieci?

– Odpowiedź jest całkiem prosta, nasi Stwórcy nie mieli na jakiej podstawie ich sprawdzić. Etap pierwszej selekcji odbył się na Ziemi, co oznacza, że każdy musiał przeżyć chociaż trochę życia, by można go było ocenić. Dzieci są zwykle mało świadome i jeśli zginą w takim wieku, to odradzają się na nowo, tylko że w innym wcieleniu. Ciekawostka; samobójcy od razu idą na stracenie, a przynajmniej tak słyszałam – powiedziała bez zbędnych emocji. Najwyraźniej miała sporą wiedzę o tym miejscu. Ciekawe ile tu już tkwiła?

– Aha. To wiele wyjaśnia, a wiesz może czy istnieje tu czas?

– Nie. Nie mam nic więcej do powiedzenia – odpowiedziała konkretnie.

– A języki? Przecież to niemożliwe. Każdy jest skądinąd, a wszyscy się rozumiemy. Jak mniemam, nasi Stwórcy magicznie sprawili, że mówimy w tym samym dialekcie?

– Tak, jesteś bystry i na dodatek wciąż wszystko racjonalizujesz. Wcale się nie zmieniłeś, Mati.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Kobieta odwróciła się i ukazała mi się znajoma twarz.

– Olka – wykrztusiłem. Jak mógłbym jej nie poznać! Moja przyjaciółka z dawnych lat, a zarazem pierwsza, dziecięca miłość. Rzuciłem się jej na szyję. Marzyłem o tym, by ją jeszcze kiedyś zobaczyć, chociaż wcześniej nie było o tym mowy i oto spotkaliśmy się w innym świecie, wśród kilkumiliardowego tłumu. Niewiarygodne!

– No, już mnie nie duś – poczułem wilgoć na moim ramieniu. Ścisnąłem ją ostatni raz, musiała mi zapłacić za to, że mnie zostawiła na Ziemi. Wypuściłem ją z objęć i taktownie odwróciłem głowę, żeby mogła otrzeć ukradkiem łzy.

– Co jest? Zawsze byłaś twarda. To ja odgrywałem rolę beksy – zagadnąłem po przyjacielsku.

– Wyrosłam z tego, a poza tym zawsze będziesz dla mnie mięczakiem – uderzyła mnie delikatnie pięścią w ramię, tak jak to zwykła robić w dzieciństwie. Zawsze musiała zaznaczyć kto jest górą w naszym duecie. Czułem się taki szczęśliwy. Wszystko inne rozpułynęło się w tle, widziałem tylko ją.

I wtedy poczułem dziwne mrowienie.

– Alć – złapałem się za serce. Czułem się jakby coś rozrywało mnie od środka. Olka rzuciła mi trwożne spojrzenie.

– Tylko nie to – cała zbladła.

Nieprzyjemne mrowienie rozeszło się po całym ciele. W głowie miałem jedną myśl: *Podejść do stolika*. Czy to była moja myśl?

Spróbowałem odejść w przeciwną stronę, lecz ból nasilił się trzykrotnie, gdy tylko odwróciłem głowę w tamtych kierunku. Olka to zauważyła.

– Idź, nie ma sensu się opierać – znów płakała, tym razem nie ze szczęścia – Błagam, tylko się nie poddaj. Będę przy tobie.

Skorzystałem z jej rady niemal natychmiast. Tak jak MSAL, tak i ja zostałem przepuszczony przez ludzi. Widziałem ich pokrzepiające uśmiechy, niektórzy coś mówili, ale nie rozumiałem ich. Miałem w głowie tylko jedno zdanie. Wypełniało mnie od środka.

Podejść do stolika.

Ocknąłem się już siedząc przy nim. Mistrz Gry był już gotowy. Widziałem wszystko w spowolnionym tempie; jak wyjmuje talię przeznaczoną dla mnie, jak sięga po drugą, nie, trzecią kartę od lewej. Jak ta powoli opada na blat stołu. Jak ukazuje mi się narysowany na niej symbol.

Kier.

* * *

Znaliśmy się od zawsze. Urodzeni w tym samym roku i miesiącu. Mieszkałem zaledwie ulicę dalej. Obydwoje nie mieliśmy rodzeństwa. Nasze matki przychodziły do siebie na kawę i pogaduszki, ojcowie zaś solidnie ściskali dłonie na powitanie po czym oddawali się rozmowom o interesach.

Bawiliśmy się razem we wszystko. Byłaś dziewczyną, więc musiałem czesać twoje lalki i układać skomplikowane puzzle, które zdawały się nie kończyć. Robiłem to tylko dla ciebie i doprawdy, miałem już tego dość. Widziałaś moją niechęć, toteż zaproponowałaś wyjście na dwór – niezła zagrywka moja droga. Już wtedy doceniałem twój spryt.

Wybiegliśmy jak oszalałe konie do porządnie zroszonego deszczem ogródka i niemal od razu poślizgnęłaś się na pierwszej kępcie darni. Złapałem cię odruchowo za kurtkę, lecz ten gest nie przyniósł dobrego efektu. Obydwoje klapnęliśmy na ziemię, choć nie wiem czy można to było nazwać ziemią, bo zrobiło się z niej świeże błoto. Chwilę siedzieliśmy w osłupieniu. Nie wiedzieliśmy co zrobić z tym faktem, lecz nie minęło pięć minut, a już byliśmy cali pokryci ziemistą breją. Urządziliśmy sobie mały poligon. Nie było nam do śmiechu, gdy nakryła nas twoja mama.

Początek roku szkolnego był przełomowym momentem naszej przyjaźni. Od tego czasu stawaliśmy się dla siebie coraz bardziej obcy. Miałaś innych przyjaciół, czułem się od nich gorszy, bo wywodzili się z zamożniejszych rodzin. Tobie nie przeszkadzała moja przeciętność, po prostu bałem się ich reakcji. Nie miałem ochoty bawić się z nimi. Pragnąłem wrócić do czasów, gdy byliśmy tylko my, we dwoje. Postanowiłem, że muszę umocnić naszą relację.

Pewnego dnia zebrałem się w sobie i wreszcie postanowiłem ci TO powiedzieć. Zerwawszy stokrotki z mojego ogrodu, podreptałem do twojego domu. Czytałaś książkę na balkonie. Spocily mi się ręce, a na dodatek kwiaty oklapły. Chciałem zawrócić, lecz byłaś ode mnie (jak zwykle) szybsza.

– O, cześć Mati! – wstałaś tak gwałtownie z krzesła, że aż zwiąło ci kapelusze.

– Cześć – starałem się brzmieć naturalnie, chociaż drżałem ze strachu. Podniosłem twe nakrycie głowy, by zyskać na czasie. Kompletnie nie wiedziałem co powiedzieć, a ty jak zwykle mnie wyręczyłaś.

– Czekaj, zaraz do ciebie zejdę – i już stałaś ze mną oko w oko.

– Słuchaj, bo tak sobie pomyślałem – wydukałem, ściskając za plecami stokrotki – czy... Czy zostałaś... no wiesz... moją dziewczyną? – prawie spałem się ze wstydu. Szybko wcisnąłem tobie spocone i lekko odwodnione kwiaty.

– Ojejku – uśmiechnęłaś się dobrotliwie. – Wiesz Mati, lubię cię, ale jako przyjaciela. A poza tym mam obiad, więc... no... muszę iść – poklepałaś mnie po plecach, odebrałaś kapelusze i schowałaś się w swoim domu.

Tak, wiem, przestraszyłaś się. Nie winię cię za godziny rozpaczai. Jesteś pierwszą osobą, którą szczerze pokochałem. Byliśmy tylko dziećmi. Szkoda mi było tylko, że nasze następne spotkanie odbyło się w takich okolicznościach. Było to w październiku...

Chwila.... Po co to wspominam? Co się dzieje? Ach, już pamiętam!

* * *

Otworzyłem oczy. Udało mi się! Skorzystałem z chwili wolnego czasu i poszukałem wzrokiem Olki, chciałem podzielić się z nią swą radością. Miała przy mnie być...

I była. Siedziała przy stoliku po mojej lewej stronie. Musiała wpaść w Trans tuż po mnie.

Odwrociłem instynktownie głowę, idealnie by zauważyć symbol sfruwającej karty na mój stolik. Wszystko działo się zbyt szybko.

Trefl.

* * *

Typowy jesienny dzień; trochę deszczu, słońca i spadających liści, które kończyły swój lot na pożółkłej trawie. Wydawały się aż za nudny. O tej porze roku ludzie spędzają czas z rodziną, w ciepłutkich domach. Popijają przy tym herbatę i przyglądają się tańcu kropel za oknem. Ukradkiem podglądają zabawy ich pociech, takie jak zbieranie kasztanów czy skakanie w kałuże. Nie wiedziałem, że ten dzień będzie gorzki i słodki zarazem.

Moje serce było wcześniej zbyt zatwardziałe, lecz w końcu odważyłem się otworzyć je przed tobą. I oto stałem przed drzwiami naszego rodzinnego domu, którego nie pozwoliłaś sprzedać, nawet po śmierci taty. Zatrzymałem swój palec w połowie drogi do dzwonka. Czy na pewno byłem gotowy? Nie, ale już bardziej nie mogłem być. Nacisnąłem wytarty przycisk i naraz rozległ się znajomy dźwięk. Lubiałaś muzykę poważną, toteż nawet melodia dzwonka była kawałkiem z jakiegoś znanego utworu. Kiedyś nawet znałem jego nazwę, niestety teraz bym jej sobie nie przypomniiał.

Deszcz zaczął mocniej zacinać. Przystąpiłem z nogi na nogę.

– Mamo, czemu mi nie otwierasz? – szepnąłem w nicość.

Każdy zna to niemiłe uczucie w żołądku. Ścisła obawy i twogi, który wiąże na supeł wszystkie wnętrzości. Ogarnęła mnie panika. Od czasu wypadku ojca panicznie bałem się, że wszyscy mnie opuszczą, że zostanę sam na tym świecie. Mimo tego skrywałem do tej pory jakiś niezrozumiały żal do ciebie, mamo.

Wtedy, gdy tak stałem wśród wirujących liści i kropel, wreszcie się uwolniłem. Nie czułem już do ciebie urazy, którą tak starannie pielęgnowałem na własne życzenie. Zatraciłem się wówczas w nieuzasadnionej nienawiści. Pamiętasz jak nauczyciele mówili ci, że jestem wrażliwym, acz trudnym chłopcem? Mieli rację, choć wtedy się buntowałem. Przeciwno nim, zasadom, światu i, czego najbardziej żałuję, tobie.

Zadzwoiłem raz i drugi. Zapukałem. Nikogo ni widu, ni slychu. Przeraziłem się. Obiegnę dom, wiedziałem, że nie miałaś w zwyczaju zamykać drzwi od strony ogrodu. Wdarłem się do środka. Światła były zgaszzone. Uderzyła mnie fala gorąca.

– Mamo?! – krzyknąłem zduszonym głosem.

Przywitała mnie jedynie grobowa cisza.

Obszedłem cały dom, sprawdzając każde pomieszczenie, lecz nigdzie ciebie nie zastałem. Trochę mi ulżyło. Usiadłem na wygodnej kanapie, chyba była nowa, bo jej nigdy nie widziałem. Czekałem, ta rozmowa musiała nastąpić dzisiaj. Wreszcie czułem, iż mogę zakończyć pewien rozdział w moim życiu.

Wyciągnąłem komórkę z kieszeni mego płaszcza. Będąc w amoku nie wpadłem na to, że mogę zwyczajnie do ciebie zadzwonić i zapytać się gdzie jesteś.

– Mamo? – powiedziałem, gdy odebrałaś po trzech sygnałach.

– Ma-ti? – wykrztusiłaś z niedowierzaniem. Wyłapałem odgłosy karetki pogotowia i lament jakiejś kobiety w tle.

– Mamo, co się dzieje? – zapytałem odruchowo. Sam dźwięk ambulansu przyprawiał mnie o dreszcze.

– Nic, nic, nie denerwuj się. Słuchaj, muszę kończyć... – powiedziałaś wymijająco. To mi się nie spodobało. Dobrze wiesz, że zawsze starałaś się mówić wszystko wprost i nigdy nie unikałaś odpowiedzi. Sama mnie tego uczyłaś.

– Mamo, nie wygłupiaj się, mów – byłem wstrząśnięty – Gdzie jesteś?

– Na rogu Kwiatowej, obok kina, ale to nie ważne, zupełnie nie ważne. Przecież jesteś w Warszawie... – powiedziałaś. – A może i dobrze... – dodałaś bezbarwnym głosem.

– Jestem w twoim domu, już biegnę – rozłączając się dosłyszałem twoje słowa „On tego nie znieśie...”, które wypowiedziałaś do siebie.

Przybyłem na miejsce zaledwie po pięciu minutach. Jak mógłbym pomylić drogę. Jeszcze jeden zakręt. Kwiatowa.

Tu kiedyś mieszkała...

– Olka! – w tym krzyku zawarłem całą mieszaninę emocji, która kotłowała się w moim sercu nie tylko tego dnia, ale całe lata.

Ziemia była obryzgana świeżą krwią i zavalona metalowymi odłamkami. Z prawej strony zauważyłem samochód wbity w latarnię. Wokół był tłum ludzi, ale nie zwróciłem na nich uwagi. Przepchnąłem się do centrum, w którym rozgrywała się potworna scena.

– Olka! – załkałem.

– Proszę się odsunąć – odrzekł niecierpliwie ratownik.

Pozwoliłem im ją zabrać. Tak było dla niej najlepiej. Nie mogłem wypędzić tego widoku z głowy. Błada twarz, potargane włosy, posiniaczone ciało, ręka wygięta pod nienaturalnym kątem. Nie taką Olkę chciałem zobaczyć po tylu latach. Nie w takim stanie ani okolicznościach.

Byłem pusty, pusty w środku. Oniemiałem. Nie robiłem nic. Tylko stałem i gapiłem się mętnym wzrokiem na bliżej niezdefiniowany punkt.

I wtedy mnie przytuliłaś. Po raz pierwszy od wielu lat, wielu lat. A ja poddałem się twojej miłości. Wypełniłaś mnie otuchą, dałaś mi nową nadzieję i uspokoiłaś umysł.

Płakałem jak dziecko. Łzy wymieszały się z deszczem, który przybrał na sile. Ludzie pochowali się do domów, a my tam trwaliśmy, złączeni w uścisku miłości. Matka i syn.

A ty Olka, widząc nasze pojednanie, mogłaś spokojnie odejść. I to zrobiłaś.

* * *

Ocknąłem się. Czułem wilgoć w oczach. Czy to złudzenie po tym wspomnieniu? Nie, naprawdę się wzruszyłem. Czułem się wyzwolony. Taki lekki i pozbawiony zmartwień. Już wszystko za mną.

Wygrałem.

Odsunąłem krzesło i odszedłem od stołu. Pole widzenia zwężyło się do dwóch kotar. Postawiłem krok. Czułem pewien opór. Coś było nie tak.

Olka wyminęła mnie bokiem. Kierowała się do purpurowej kotary. Blokada, która mnie spowalniała, nagle zniknęła. Rzuciłem się do przodu złapałem ją za rękę. Nie wiedziałem jak to zrobiłem. Czy to nie było przypadkiem niemożliwe?

Na chwilę odzyskała przytomność umysłu.

– Nie pozwolę ci odejść. Chodź ze mną – powiedziałem, a ona skinęła lekko głową. Musiałem spróbować.

Próbowałem wciągnąć Olkę do białej kotary, lecz potężna, niewidoczna siła oddalała nas od siebie. Trzymałem jej delikatną rączkę z całej mojej mocy, ale czułem, że centymetr za centymetrem ją traciłem.

– Idź – wyszeptwała. – Jesteś godzin.

– Nie o to walczyłem – powiedziałem wyznając jej wszystko, czego nie zdążyłem jej powiedzieć. – Kochałem cię przez tyle lat, aż do twojej ziemskiej śmierci, a nawet po niej dałaś mi szczęście. Dzięki tobie pojednałem się z moją matką i wreszcie ją pokochałem. Tylko z tobą mogę być szczęśliwy. Gdy znów cię ujrzałem, poczułem po raz trzeci niezwykle pragnienie miłości. Miłości najdojrzalszej ze wszystkich. Jesteś moim przeznaczeniem, wybranką serca. Więc... – ścisnąłem ją mocniej. – Nie odchodź beze mnie!

Miłość dodała mi nadludzkiej, a nawet najpotężniejszej siły jaka istnieje na świecie.

Nikt, nawet wszechmocni i wszechobecni Stwórcy nie mogli nas powstrzymać.

Ostatkiem sił wepchnąłem nas do białej otchłani.

I spleliśmy się w Jedność.

Na zawsze.

Agata Toporek

zatrzymanie na czerwonym

zatrzymałeś mnie na czerwonym
podczas odludnych spacerów przez miedzę
roztoczyliśmy się nad sobą
jak najlepsze sny
wyszliśmy z nich do dzisiaj
i pomnożyliśmy się przez siebie
podzieliły nas szczęścia
odkąd dodaliśmy siebie razem
wypuściliśmy owinięte w łodygi
młode odrośle światła
przeszyliśmy się sobą objęci
i zaczęliśmy sobą oddychać
z wdziękiem na środku ulicy
ty byłeś deszczem a ja zielenią
ty byłeś błękitem a ja bielą
zdmuchiwaaliśmy z siebie pocałunki
szeleściliśmy sobie piosenki
przeniknięte galopem skrzypiec
szybkim jak wystrzały światła
które się na nas gapiło
gdy wywoływaaliśmy wspólne obrazy
nas samych na planie nadziei
były w nas cisze
listków mięty i miękkich zieleni

a my byliśmy niczym mięsa kwiatów
i powodzie słońce na grzywach nieba
dostawaliśmy skrzydeł jak ptaki
nawet gdy nie byliśmy – byliśmy razem
zanim spojrzeliśmy – widzieliśmy tak samo
nasze współrzędne pasowały tuż i obok
byliśmy pełni i pokryci
zacierając między sobą jakąkolwiek różnicę
kochaliśmy się głęboko i przemakaliśmy sobą
o Boże jak bardzo
ufaliśmy gwiazdom
ze szczególnym uwzględnieniem nocy
w rozsypie kwiatów wśród słodkich łąk
podglądał nas skupiony stary anioł
zdejmując okulary

Hanna Makurat

dokładne zakochanie

kiedys byliśmy dawni
istnieliśmy nie istnieliśmy
byliśmy gdzieś lub nigdzie
potem się sobie zdarzyliśmy
zakochując się w sobie dokładnie
i dziwiąc się sobie
wzajemnie tak głośno i głęboko
jakbyśmy się nagle dopatrzyli
tej niewidocznej strony nieba
po której anioły stają się widzialne
pośród obłoków puchatych jak gromady
piękna zapisaliśmy miłość naszą
na wielolinii oraz w setnym wymiarze
starannym punktem po tamtej stronie
nieba malowaliśmy potem całe ogrody
zakładając własne królestwo
i baśń w najlepszym wydaniu
staliśmy się wynalazcami srebra księżycza
we wszystkich jego fazach
idąc mleczną drogą mijaliśmy krajobraz
niebieski spowity mgłą i mżącym deszczem
świat czekał na nas na ławce
to była uparta radość
która gdy spaliśmy przyszła
w zaśpiewie obudzonych przez gwiazdy
cudów co w nas się stały i światel
co nigdy nie dały nam spokoju

Hanna Makurat

Okna

I.
przychodził
pod balkon pnących róż
splcionych milionem pnączy zdrewniałych
czekaniem
i liśćmi jesiennej nadziei
staruszek
z głową w chmurach
kłaniał się zorzom i kobiecie którą
znał ze snów chłopięcych
niepamięci marzeń

kurczowo trzymał się
życia
w aptece kupował
syrop na czułość
trwał w nedorzecznosci spóźniony
na Jego plan

każdego dnia był bliżej
oddalenia

II.

wracał
chwiejnym krokiem wykołejonej
młodości
zakłopotany brakiem w ledwie słyszalnym
sercu
staruszek
o spopielających oczach
spojrzeniu kalekim tęsknotą

cierpliwie czekał na
miłość
z trzeciego rozdania
i okruczeństwa czasu
przyniesiony przez ptaki
być może

powtarzał modlitwę
szeptanych wspomnień
przed drwiną losu
ukrył się
w milczeniu

III.

wierzył
że kochać można
jak w piosence sprzed lat
że dziewczyna z balkonu czeka
na niego w poświęceniu anioła że trzeci
raz porwie ją w ramiona
że ukołysze i
zaśnie

...

...

i miłość się zjawiała
zaplotła się
ciemniem cichej wiary
oddechem krótkim trzepotem
skrzydeł starości

i umarło serce w staruszku
zawstydzone gołębnie

pod balkonem dziś
nikt nie stoi
róże kwitną czekaniem co
skamieniało

Barbara Malawska

W symfonii sztormu

*„Morze płaczące świstem deszczu
i perloplawiem pianorodne,
dalekie, ciche, smutne głębią”
Krzysztof Kamil Baczyński*

Piskliwe krzyki mew
Mieszają się z przeraźliwym
łaskotem świszczącego wiatru
który zdmuchują kosmate
grzywy z postrzępionych siwizną
zgniłozielonych bałwanów
ryczy jak Stolem
walczący w otchłani

Oddech Boreasza
trzeszczy i charczy
jak przestarzały megafon
na starym dworcu
i wibruje w membranach usznych
jak zużyty potencjometr
wdzierając się pod sufit
najgłębszych szczelin mózgu

Wśród morskiej kakofonii i ryku
wściekłych fal atakujących sztrąd
garściami szaro-zielonych pereł
rzucanych na zbołałe pośladki
napuszonych wydm
słyszę jęk dusz kaszubskich rybaków
które otulone płaszczem Prozerpiny
trafiły na wieczność w niewolę Neptuna

Henryk Polchowski

Spacer z klepsydrą

*„dobra doczesne są niczym,
człowiek nigdy nie zgłębi sensu istnienia”*

z Księgi Koheleta

Fala morska
raz przybliża się
raz oddala
innym razem kołysze
tuląc do wspomnień
minionego lata i karuzeli czasu

Napływ myśli
wzbiera cyklicznymi falami
natrętej interferencji
odbijającymi się
od nadmorskiego brzegu
rozkojarzonej koncentracji

Chłonę mikrokropelki jodu
filtrując z rozkoszą haust
nadałtyckiego aerozolu
penetruję zakamarki umysłu
w takt trzeszczącej pod stopami
piaszczystej promenady

Krok w krok
noga w nogę

dzień po dniu
bez zbędnych słów
przesypuję w swoich rękach
klepsydrę patrząc z żalem
jak ubywa piasku

Wiem, że kiedyś
mi go zabraknie
i nikt nie będzie w stanie
dosypać nawet najmniejszej garstki
choćbym sypnął złotem
bądź zaprzedał duszę

W obliczu Boga i żywiołów
stawiam śmiało bosą stopę
na skrawku tej ziemi
cieszę każdym krokiem
nucąc pod nosem
swój hymn radości życia

Henryk Polchowski

Bóg, On i Anioł

Pierwotnie był tylko Bóg...
Niewidzialny, niedostrzegalny, obecny.
Nieświadomie go pragnęłam,
Myśli w darze składałam i wierzyłam...
Z uśmiechów malowałam poranki,
Łzy przerabiałam na perły,
Tylko żal... rósł.
Porzuciłam go w złości.
Potem trochę błdziłam, bluźniłam, biegłam...
Spotkałam w samotni.
Czekał...
Rozmawialiśmy długo,
Czułam każdy oddech, gest.
Wróciłam...
Tym razem świadomie, na zawsze...
Nie sądziłam, że zjawi się jeszcze On...
Piękny, dobry, troskliwy, namacalny.
Po twarzy ślepo dłońmi rzeźbiłam szczęście,
W oczach zasnąłam,
I w usta jego utonęłam.
Potem pojawił się ...Anioł.
O buźce subtelnej,
Oczach głębokich,
Ustach jedwabnych...
O rączkach tak cudnych znanych tylko niebu i... mi,
O bliskości tak silnej, znanej tylko matkom,
O radości tak wielkiej, że niepojętej...

Lili Wilczyńska

Do przyjaciół

W jakich barwach teraz mieni wam się świat?
Dawni przyjaciele...

Pamiętacie, gdzie poukładaliśmy sny?
Ile w nas zostało wiary?
Czego nie skradł nawet czas?

Entuzjazmu wielkie tony,
I nadziei pełne dłonie,
Roztropności może szczyptę,
Wstydu parę ziaren...
Jeszcze wszak odwagi, było więcej, więcej...

Może lata nam umknęły,
Może kroku dodał świat.
Nam się jednak ciągle zdarza,
Pobiec hen na wznak.

Choć pokory nabrał wiek,
Choć naiwność rozwiął wiatr,
Nikt nam tego nie odbierze,
Co odkryliśmy w kwiecie lat.

Dziś rozbrzmiewa wspomnień żar,
Tryska z oczu tamten blask.

Nasze ciała, cóż dojrzalsze,
Ale serce, duch, o nie!

Dusza wciąż nie ujarzmiona,
Serce nieco spokojniejsze.
Do odkrycia wciąż przed nami,
Stery marzeń, pragnień, dążeń.

Nie wyblakły nasze cele,
Dawnych dni nie pokrył kurz.
Nie umarło przeświadczenie, że się w głos umiemy śmiać,
Szaleć, tańczyć i figlować,
Krzyczeć, płakać i zwariować.

...Świat nadal przecież błyszczący,
W barwach z dawnych lat...

Lili Wilczyńska

Czy to była miłość?

Znam ten beznadziejny smak
pokruszonych serca kawałeczków,
który rani twoją duszę,
jak milion ostrych noży.
Czy to była miłość?

Mój towarzysz nadał mi imię,
gdy przechadzając się korytarzem,
bez słowa, obojętnie minie cię
iskierka światła, niebanalna.
Sens twojego życia!
Od dziś jestem
Pani Niewidzialna
Ale chwileczkę
Czy to była miłość?

Znasz ten żal?
Pewnego dnia odchodzi osoba.
Umrzeć z miłości jest możliwe.
Czy to była miłość?

Gorzkie uczucie niezrozumienia.
Ja się buntowałam, krzyczałam:
„Na tę miłość lekarstwa nie ma!“
Czy to była miłość?

Proszę teraz przyjaciół o przebaczenie,
przyznać rację im muszę.

Od wielu miesięcy
nie dręczą mnie już
„miłością“ spowodowane wewnętrzne katusze.
Męczy mnie jednak trudne pytanie:
Czy to była miłość?

Jakże piękne to uczucie
Myśleć po przebudzeniu
O pogodzie i ubraniu,
nie o tobie i cierpieniu.
Prawda jest dziś moją siłą:
Wiem, że to nie była miłość.

Paulina Fopke

Przyzwyczajenie

Co za siła,
kiedy nagle się odzywasz,
mówisz, że żałujesz,
ale czasu nie odzyskasz.
Powiem Ci kochanie,
co szczerze o tym myślę,
nie mam już żadnych wątpliwości.
Przez ostatnie lata
byłeś w moim umyśle,
Ale za to w sercu -
ani grama „miłości“.
Miłość to uczucie,
które daje uwolnienie.
To, co nas łączyło,
to tylko przyzwyczajenie.

Paulina Fopke

Okiem jurora

12. edycja konkursu Powiew Weny, pod patronatem Prezydenta Miasta Wejherowa, odbyła się pod hasłem *Trzecią miłość zaplata się jeszcze mocniej*. Konkurs miał charakter otwarty i skierowany był zarówno do debiutantów, jak i dojrzałych autorów, mieszkających na terenie województwa pomorskiego.

Celem konkursu było inspirowanie i popularyzowanie twórczości literackiej, ujawnienie talentów literackich oraz stworzenie możliwości publikacji najlepszych utworów. Konkurs został przeprowadzony w dwóch grupach wiekowych: pierwsza skierowana była do młodzieży w wieku od 16 do 19 lat, druga do dorosłych powyżej 20 lat. Uczestnicy konkursu mogli wybrać między prozą a poezją. W konkursie wzięło udział 45 osób. W kategorii literatury młodzieżowej, gromadzącej zarówno poezję, jak i prozę udział wzięło 21 osób. Kategoria literatury dla dorosłych podzielona została na dwie grupy: poezję i prozę. Na podzielenie się swoją twórczością poetycką zdecydowało się 14 poetów, którzy nadesłali w sumie 42 wiersze. W dziale prozy zgromadzono prace 10 autorów.

Nadesłane prace odznaczały się wysoką wartością literacką, zwłaszcza w kategorii literatury młodzieżowej i reprezentowały różne cechy gatunkowe. Jak co roku, w ocenie prac brano pod uwagę: wyznaczniki gatunkowe utworów, sposób prowadzenia narracji, strukturę opowiadania, konstrukcję fabuły, oryginalność i umiejętność przedstawienia wybranej tematyki, warsztat językowy autora oraz atrakcyjność tekstu dla czytelnika.

Nadesłane w tym roku prace nie były bezbłędne, wymagają one jeszcze prac redakcyjnych, podnoszących wartość literacką i językową utworu. Każda z nich wyróżniała się jednak na swój własny sposób i przemawiała do czytelnika w innej formie. Biorąc jednak pod uwagę, że były to debiuty, niektóre błędy należy wybaczyć początkującym autorom.

Tegoroczne prace konkursowe charakteryzowały się dużą różnorodnością gatunkową. Znajdujemy tu zarówno opowiadania fantastyczne, jak i społeczno-obyczajowe, kryminalne, historyczne oraz typowe „harlequiny”. Łatwy zgoła

temat konkursu okazał się wieloaspektowym punktem odniesienia dla wielu autorów. Niekonwencjonalne podejście twórców do tematu ukazało ich własną, indywidualną koncepcję „trzeciej miłości”.

I tak w finale konkursu w grupie wiekowej od 16 do 19 lat, gdzie obowiązywała jedna kategoria, w której można było przedstawiać utwory poetyckie i prozatorskie, pierwsze miejsce zajęło opowiadanie Pauliny Melcer. Utwór napisany jest bardzo sprawnie, ujawnia dobre przygotowanie autorki związane zarówno ze znajomością twórczości Van Gogha, jaki i pomysłem na fabułę. Tłem akcji utworu jest muzeum Van Gogha w Amsterdamie, gdzie dwoje młodych ludzi spotyka się na pierwszej randce. Na wysoką ocenę zasługuje opis obrazów Van Gogha, który umiejętnie komponuje się z treścią opowiadania.

Drugie miejsce zajęło opowiadanie Sary Bojanowskiej zatytułowane „Adrenalina”. Walorem tego utworu jest poprawność językowa i stylistyczna oraz umiejętne, trzymające w napięciu, poprowadzenie akcji opowiadania. Trzecią miłością bohatera, odrzuconego przez matkę, potem nieszczęśliwie zakochanego w dziewczynie, jest silne uzależnienie od adrenaliny. Działania, które podejmuje wywołują dreszcze emocji również w czytelniku.

Na trzecim miejscu uplasowało się opowiadanie „Kier”, którego autorką jest Agata Toporek. Akcja opowiadania toczy się w zaświatach, gdzie ludzie grają o swoje życie po tamtej stronie. Utwór ten urzekł członków kapituły klimatem, tajemniczością, fabułą, obrazowością języka oraz zaskakującym zakończeniem.

Wyróżnienie i nagrodę przewodniczącego Rady Miasta Wejherowa otrzymała poetka Pauliny Fopke. Zaskakujące dojrzałością dziewczęce wiersze o miłości są obrachunkiem z minionym uczuciem. Autorka zastanawiając się „czy to była miłość?” dochodzi do konkluzji, że cudownie jest po przebudzeniu myśleć o pogodzie i ubraniu, a nie o miłości i cierpieniu.

W grupie wiekowej B (powyżej 20 lat), w kategorii prozy w finale konkursu znalazło się znowu, bezkonkurencyjne w zasadzie, opowiadanie „Dwa słowa” autorstwa Krzysztofa Szkuřatowskiego. Autor w niebanalny sposób przedstawił dzieciństwo chłopca wychowywanego przez dziadków. Pod względem struktury opowiadanie jest bardzo przejrzyste, pełne barwnych, plastycznych opisów oddających realia życia dziecka. Cechuje się różnorodnością i odmiennością. Praca jest poprawna pod względem stylistycznym, językowym i ujawnia erudycję autora. Akcja opowiadania (pomimo długich opisów) jest bardzo dynamiczna,

a przedstawione obrazy są żywe do tego stopnia, że czytelnik może je nie tylko zobaczyć oczami wyobraźni, ale poczuć i przeżyć.

Drugie miejsce zajęły *ex aequo* 2 opowiadania. Pierwsze z nich, zatytułowane „Pacjentka” pióra Krystyny Lewny to historia strudzonej życiem kobiety, która okazuje się być szaloną romantyczką. Pod względem struktury utwór jest bardzo przejrzysty, kompozycyjnie dobrze zaplanowany i świadczy o wysokich kompetencjach pisarskich autorki. Drugą laureatką została Aleksandra Paluszek-Kur, autorka opowiadania „Trzecią miłość zaplata się jeszcze mocniej”. To ambitna, wywołująca silne emocje historia, w której funkcjonują dwa plany zdarzeń (czas przeszły rok 1939 i 1944 oraz terażniejszość – czasy współczesne). Zamyśl połączenia historii z czasów drugiej wojny światowej z prowadzonym w terażniejszości wątkiem daje w rezultacie opowiadanie obyczajowo-historyczne, które czyta się z zapartym tchem. Na wysoką ocenę zasługuje historyczno-merytoryczne przygotowanie autorki, która umiejętnie wprowadza do swojego utworu autentyczne wydarzenia wojenne, a wokół nich buduje interesującą i niezwykle prawdopodobną historię.

Poezja dotyka wrażliwej i subiektywnej sfery ludzkich przeżyć i niejednokrotnie trudno wydać o niej obiektywny i uniwersalny sąd. Temat miłości w poezji brzmi pięknie. Liryczne utwory są w stanie oddać naturę kochania, ulotność uczucia, a także cały tragizm miłości niespełnionej, nieszczęśliwej. W nadesłanych wierszach odkrywamy miłość, która jest bezwarunkowym, niewinnym oddaniem i zauroczeniem, jak też miłość kolejną, dojrzałą, pożądaną i rozpalającą zmysły. W kategorii poezji jury konkursowe zgodnie przyznało pierwsze miejsce wierszom Hanny Makurat, które rozbudzają wyobraźnię i wywołują refleksję na temat miłości, zarówno tej duchowej, jak i cielesnej. Nagrodzone zostały również wiersze Barbary Malawskiej (II miejsce) i Henryka Połchowskiego (III miejsce). Autorzy w interesujący sposób przedstawiali wizję miłości wykorzystując piękne, oryginalne i ciekawe porównania. Na uwagę zasługują również, wyróżnione przez jury, wiersze Lili Wilczyńskiej, za które autorka otrzymała nagrodę Dyrektora Miejskiej Biblioteki Publicznej w Wejherowie.

Podsumowując można stwierdzić, że do finału zostały wybrane najbardziej wartościowe spośród nadesłanych na konkurs prace. Kapitułę konkursu niezwykle cieszy zainteresowanie konkursem i udział w nim wielu młodych talentów literackich. „Powiew Weny” może być dumą zarówno dla organizatorów, jak i partnerów konkursu, bez których wsparcia inicjatywa ta nie mogłaby zyskać należnej

jej pozycji. Trud i chęć promowania młodych twórców przyczynia się do coraz większej popularności konkursu, dzięki czemu z roku na rok rośnie jego ranga i popularność. Dlatego już dziś zapraszamy wszystkich autorów do nadsyłania prac na następną edycję konkursu.

dr Jolanta Laskowska

SPIS TREŚCI

Bogdan Tokłowicz – <i>Drodzy Czytelnicy</i>	5-6
WYNIKI KONKURSU	7
Krzysztof Szkurłatowski – <i>Dwa słowa</i>	9 – 19
Aleksandra Polaszek-Kur – <i>Warkocze</i>	20 – 24
Krystyna Lewna – <i>Pacjentka</i>	25 – 32
Paulina Melcer – <i>Trzecią miłość zaplata się jeszcze mocniej</i>	33 – 41
Sara Bojanowska – <i>Adrenalina</i>	42 – 53
Agata Toporek – <i>Kier</i>	54 – 65
Hanna Makurat – <i>zatrzymanie na czerwonym, dokładne zakochanie</i>	66 – 68
Barbara Malawska – <i>Okna</i>	69 – 71
Henryk Połchowski – <i>W symfonii sztormu, Spacer z klepsydrą</i>	72 – 74
Lili Wilczyńska – <i>Bóg, On i Anioł, Do przyjaciół</i>	75 – 77
Paulina Fopke – <i>Czy to była miłość?, Przyzwyczajenie</i>	78 – 79
Jolanta Laskowska – <i>Okiem jurora</i>	80 – 83
SPIS TREŚCI	85



Laureaci, jurorzy i organizatorzy XII Wejherowskiego Konkursu Literackiego "Powiew Weny 2017".

Pamiątkowe zdjęcie w nowo otwartej sali spotkań Miejskiej Biblioteki Publicznej w Wejherowie - tuż po ogłoszeniu wyników konkursu i wręczeniu nagród w dniu 22 listopada 2017 roku.

Fot. Sebastian Mitroszonek



**Miejska Biblioteka Publiczna
im. Aleksandra Majkowskiego
w Wejherowie**

ISBN 978-83-940674-1-0